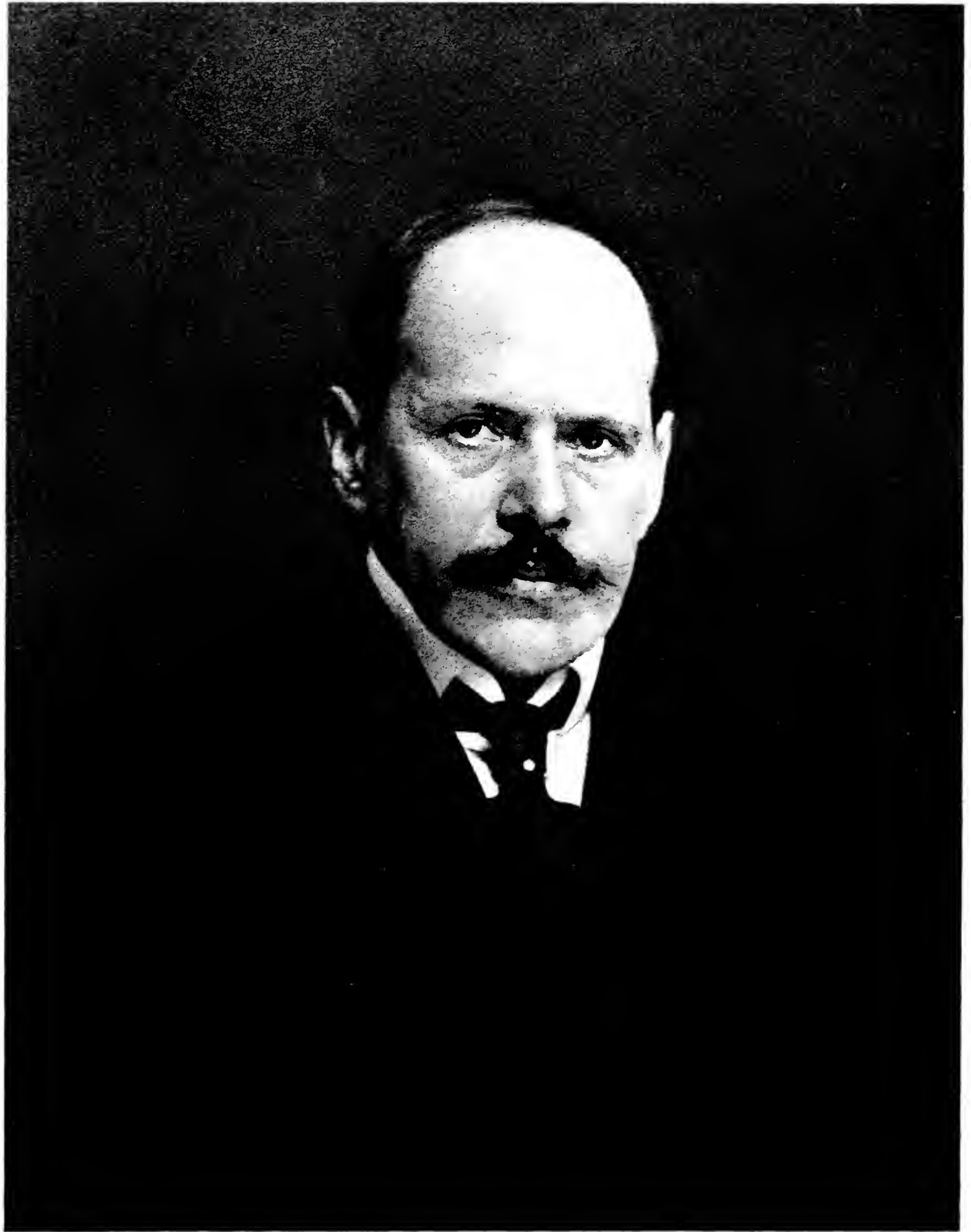


5

POEZYE WYBRANE



KAZIMIERZ TETMAJER

POEZYE WYBRANE

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
J. CZERNECKIEGO

WARSZAWA
STARANIEM KOMITETU WYDAWNICTWA
JUBILEUSZOWEGO I PRENUMERATORÓW
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

DUCH.

Zda mi się czasem w noc,
że duch mój idzie przez miasta i sioła
z płomiennym mieczem nicestwień anioła,
każdy krok jego jest jako chód burz,
obala gmachy i pałace w kurz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
a on jej zimną odpowiada wzgardą,
i dumny, wyższy nad ten cały tłum,
idzie, jak wichrów i pożarów szum,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się
i ducha tego o oczach szatańskich,
chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,

lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz
i swój płomienny w górę wznosząc miecz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu,
a on zapala gwiazdę na swej głowie
i pokazuje mi ziemskie pustkowie,
gdzie zniszczył wszystko: i dobro i zło —
i miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
i utrudzony po unicestwieniu
spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

DZIŚ.

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
by przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy od razu
nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
tak źle, że na zło takie brak wyrazu,
a serce pęka w nas i we krwi pływa.

KTÓŻ NAM POWRÓCI...

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Wołają na nas, że w złą idziem stronę,
precz o świat troskę rzucając powinną,
a czy pytają się nas, co nam trzeba,
i czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
niepodległego straszne są katusze,
gdy zerwać swego niemoże łańcucha?

Spójrzcie nam w mózgi — — zgryzły je, strawiły
wrodzone ludziom daremne pragnienia.
Wołacie na nas: »Jesteśmy bez siły,
dajcie nam słowa wiary i otuchy« — —
a nam któż daje słowa pocieszenia?
A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
żądacie od nas zbawień i pomocy,
lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
jak wy, niemamy odwagi i mocy.

WIDZIADŁO.

W ponurą rozpostarte dal
północne szumi morze,
wśród mgły ciągnących z wichrem fal
dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmętów mgły,
gdzie odpoczywa burza
i grom wśród chmur wiszący drży:
widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
kołyszą mętne piany,
wypływa rycerz, w czarną stal
od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
miecz mu pod ręką leży,
płynie, jak chmura pośród chmur,
jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
dech z piersi czerpie wzdętej
i grzmi, jak burz północnych bóg,
na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,
ponury i rozległy,

zda się, w ogromny wichry pęk
  w gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór drży,
  sklep nieba, zda się, runie —
on, nieruchomy, płynąc grzmi
  na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerz i wzdłuż
  i głębię mórz bezdenną,
i ginie, trąbiąc pośród głusz
  ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
  przez wód przelata puszcze,
i wśród mgły słychać wichrów jęk
  i morze głucho pluszcze.

MAGDALENA I CHRYSTUS.

(DO OBRAZU EDELFELTA »CHRIST ET MADELEINE«).

Błękitne mgły pajęcze
  owiały drzewa śpiące,
po siwych wodach tęcze
włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
świat owładnęło cały,

gdy Maryi Magdalenie
zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
żałość ścisnęła łono — —
a On, szedł tam, do Boga,
w dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
szedł biały w blaskach słońca,
a ona szepcąc: Chryste!...
patrzała nań klęcząca.

WIZYA.

Szara i głucha pustka w bezmiary idąca
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Wzrok zasłaniając dłonią, w koronie cierniowej,
z krwią ciekącą z rozpacznie pochylonej głowy
i zakrzepłą na wichrem roztarganych włosach,
biegnie cień, w długiej szaty rozwianych osłonach,
zgięty, jakoby ciężar dźwigał na ramionach,
a krwawym potem znaczy ślad po nocnych rosach.

Biegnie w dal — przed nim pustka w bezmiary idąca,
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Cień ów ściga chmar ludzkich chmura nieprzejrzana:
nagie, sine ich ciała są jak jedna rana,
krwią broczące wstępują w krwawe cienia ślady
i wytężają za nim z przekleństwem ramiona —
w oddali widać widmo cezara Nerona
w ogniach stosu i widmo mnicha Torkwemady.

A tam, gdzie skraj ma pustka w bezmiary idąca,
majaczy krzyż przy blasku złotego miesiąca.

SŁUCHACZE.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa, tonie,
w otęczy ołowianej, mglistej,
posępny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche
płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
ponad nią leżą pnie wierzb suche,
księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błądzę — —
szumią w dal wielkie fale senne
i połyskują, jak mosiądze,
wlekąc księżyca łzy promienne.

Rozmarza mię fal monotonność
i mglistość w ciemni księżycowa
i ziół nadwodnych nocna wonność
i z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś poza mgłą wstają szarą
cienie, wolno się ku mnie wleką
i zasiadają całą chmarą
na pniach wierzbowych ponad rzeką.

Wsłuchują się w mą pieśń, zadumy
pełną, w otchłanie gdzieś lecącą,
pieśń, której słowa są jak szumy
wód, co się w głuchych grotach mącą.

Wsłuchują się w mą pieśń, bezdennej
tęsknoty pełną, pieśń co płynie
w mistycznych uczuć bezimienny
świat i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżyca mgłych posnowach
łzy, co spływają im na lice;
te cienie czują w bladych słowach
krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi
to nieujęte i bezkresne,
co konwulsyjnie w niej się kłębi,
wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów,
widzących każde serca drgnienie — —
słucham ich cichych, smutnych płaczów
i pieśń ma łamie się w westchnienie.

ŻYCIE.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łanów, z wód, z wysokich skał,
z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
i w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
straszna przede mną stała upiorzyca,
z piekielnych kędyś wyzionięta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
a oczy miała żarłoczne, jak sęp,
którego nigdy i nic nie zasyca.

W zmierzwionych włosach gadów wił się kłęb,
ohydna, straszna weszła mi na drogę,
odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę
chciałem uciekać, ale woli wbrew
czułem, że nóg mych poruszyć niemogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
chciałem poczwarę usunąć przebojem
z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
którem mi świata uśmiechał się bóg,
za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! Ruszyć niemogłem mych nóg,
a wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
że nie potrafię ujść tych strasznych rąk,
że mnie przyciśnie poczwara do łona

i wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
zapładniać będę musiał tę ohydną
i w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną,
jęła obnażać swój okropny kształt
i w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
a oczy moje z pod powiek skostnienia
patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyciła mnie w swe uściśnienia — —
o dziwna, straszna ironio! jam czuł
żądzę wśród wstrętu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł —
i pot mi czoło zlewał już obficie,
a jeszczem nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: Życie.

HYMN DO MIŁOŚCI.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
miłości!
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
prócz samej żądzy życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest
miłości!
Jeśli największem szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia;

toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładziesz kres upajający
miłości.
Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
toś ty największem dobrem, najsilniejsze
ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań
święta potęgo
miłości!
Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
jeśli jedynem są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości.
Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dziś czczone, jutro deptane,
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz, wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,

jak one, tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczem i nigdy, tak, jak one,
pierwotna, dzika potęgo
miłości.
Wdzięku, piękności natury,
kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest liściu róży
wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękicie
wobec ócz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
pod gęstemi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
kędy obłoki lotne i powiewne
wobec kształtów ciała ukochanej?

Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
z za gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawią
pośród skał senne,
i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali:
wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
wobec jej smutku?
Kędyś wesele letniego południa
przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięztwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
o nieznoszeniu niesprawiedliwości:
wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
przy posiadaniu jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
co jest poznanem, albo niem być może,
wobec pragnienia poznania wskroś duszy
ukochanej kobiety?

Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
miłości!
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
miłości.

NARODZINY AFRODYTY.

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
objęło cały świat. Na modrym oceanie
słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał wokrąg świat od światła i gorąca,
różany płonął kwiat, srebrniała lilja drżąca,
nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w przestworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem drżącem
potrącił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem:
zadrgała senność sfer i kwiaty zaszeptały,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
oczekiwanie — — cud jakiś się dziwny iści, — —
z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
drżeć przestał róży kwiat, liljowe ścichły szmery,
jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona,
i w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
i boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
a świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
u nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują piersi jej i szyję i ramiona,
spijają perły pian z jej zagięć i lubieżne
w lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem
ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
złocisty szafir ócz owieją balsamiczne

i omdlewając już do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną
i naga stała tam, a dziwna jej potęga
aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga,
i zadrżał wszechświat w krąg, bo z morskich głę-
[bokości
sprawczyni wyszła mąk najsroższych dla ludzkości.

NARODZINY WIOSNY.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny
[młodéj,
najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody
i powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
i rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
a w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną.
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje
i rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
i naga polem szła bogini złotogrzywa,
a kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy.
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
i uśmiechnęła się do złocistego słońca
bogini, córa nieb, kwiatami władająca.

W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
a kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
i wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
a wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo.
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
i z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy
i rozkołysał drzew gałęzie i konary
i słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary —
i długo słuchał bóg w powadze i zadumie
odwiecznych baśni w tym rozkołysanych szumie.
Brodatych faunów huf i śnieżne nimfy społem
za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem,
na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada,
świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc miłosna
lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

ZAWÓD.

Wykołysałem cię wśród fal
mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną,
śniłem cię cichą i pogodną — —
ah! jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
byłaś mi, dziewczę, tak jedyna — —
ah! jak mi żal, jak żal...

Wkoło szumiały smreki w dal
jakiemś modleniem cichem, wiecznem —
byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
ah! jak mi żal, jak żal...

NIESKOŃCZONOŚĆ.

I.

Wsłuchuję się w szept mgławic wiszących w bez-
[brzeży,
wpatruję w zadumaną niezmierność błękitu,
byłem w odwiecznych grotach, pełnych stalaktytu
i skamieniałych szczątków praroślin, prazwierzy...

W pustą bezdeń się rozległ odgłos dzwonu z wie-
[ży — —
ścigam go uchem — — zda się, że hen, do zenitu
dopłynął i w bezkresach rozlał się niebytu
i wiecznie brzmi, falując coraz dalej, szerzej...

Echo lśnień, przez słoneczną rzuconych czerwoność
na kryształ wód, odbite, wraca w wielkie tonie
i wiecznie kędyś w otchłań pustą lecieć będzie...

Słucham, patrzę — i myśl ma w zadumaniu tonie,
idzie, kędy przestrzeni i czasu krawędzie
schodzą się — i zanurza się w głąb, w nieskończoność.

II.

Więcej, niźli natury pierwotne piękności,
więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w senności
sfer przestrzennych, w dróg mlecznych zawiei świe-
[tlanej,
czuję cię w mojem własnem pragnieniu nirwany
i wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zda mi się, żem spokojnym, jesiennym wieczorem
stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb ciemną —

patrzę — — blady księżyca krąg błyszczy podemną,
a otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

III.

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne głębiny
nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
śnieg, co tam w zimnym blasku słońca martwo płonie,
głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk, po dachu krawędzi, bez trwogi,
jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera:
szedłem przez najurwistsze, najszaleńsze drogi

patrzeć na martwość, co się w górach rozpościera — —
w owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

ALBATROS.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
ciemno-modra płaszczyzna nieruchomo leży;
na fali, zkąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
w bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny,

zda się, w kryształ promienny ściął się krąg słoneczny
i wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna
leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
śni — sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się podnie-
wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie, [sie,
rzuci się w pierś orkanom huczącym straszliwie
i ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne,
i patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

WIDOK ZE SWINICY DO DOLINY WIERCHCICHIEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
światła się zlewa mgła przezrocza,
nad senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni,
w słońcu się potok skrzy i mieni
w srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
wśród ciszy drzemie uroczystej
głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli,
pod słońce się gdzieniegdzie bieli
w zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
srebrzysto-turkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
przepaść rozwarła paszczę ciemną —
patrzę w dolinę, w dal:

i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...

W LESIE.

Wolno i sennie chodzą
po jasnem tle błękitu
złocisto-białe chmurki
z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
pod słońca blask z ukosa,
jaskółka śmigła, czarna,
sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
w srebrne objętej ramy
przez opalowy strumień,
złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
na ciemnej drzew zieleni,
lub przez konary rzuca
ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
po łąk zielonym łanie,
przejrzyste, zwiewne idzie
błękitne zadumanie.

PRZY MORSKIEM OKU.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty,
jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
razem runęły: jeszcze ciężar ich
byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
ale najdziksza górska nawałnica
tak nie zatarga twoich głuchych fal,
jak duszę targa daremna tęsknica,
i żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka
wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;
nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(NAD CZARNYM STAWEM GĄSIENICOWYM).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotli-
[nie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór
[kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne w głąb wzlatujmy błę-
[kitną.

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona;
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą,
i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

NA »ŻELAZNEJ DRODZE« POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce,
rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
fioletu i ponsu plamy gorejące
na modro siny granit kładą się powoli;
różowią się niebiosów błękitne roztocze,
złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane
na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
z którą wietrzyk swawoli
sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane
pada światło słoneczne na cichą polanę,
gdzie wśród jasnej zieleni

tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
za łanami zbóż sennych o blasku złocistym,
czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.
Cisza. Patrzę przed siebie,
źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
płyną po nieba głuchem, niezmiernem przestworzu,
leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
jakiś smutek, żal dziwny i takie pragnienie
czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
że więcej bym owinąć nie pragnął w ramiona
tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
nieskończona tęsknica
oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
mistycznem i kryjomem,
za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogromem,
albo się stanie kiedyś po wieków powodzi,
lub dziś koło mnie może
nieznane mi przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha,

wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
i duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,
wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty —
[ginie,
nicestwieje wessany w bezdenie wszechbytu,
co jak olbrzymi polip osnuł go miljonem
ramion, splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
i wielka melancholia nocy zwolna spływa,
zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,
a myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
i na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

LIMBA.

Samotna limba szumi
na zboczu stromem,
u stóp jej czarna przepaść
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wicher ciemne
przegania chmury.

W krąg otoczona taką
pustką okrutną,
samotna limba szumi
bezdennie smutno.

BURZA.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem
[pryska,
grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
waląc się, złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się, nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
leci z twymi ptakami o płomiennym dzióbie,
upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się, nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
pędź, zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
pędź, duchu, wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się, nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
aż spopieleje cała!... Pędź, demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół.

MGŁY NOCNE.

W NIEFCYRCE.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, miesiąca
wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach
[promienny
i rzucił w dół swe światło: na załom kamienny
padło, gdzie się przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu,
na cały wąwóz prószy z księżyca pył szklany,
srebrzą się sine, w niebo strzelające ściany,
i czarne, głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych gałęzi
świecą gwiazdy złociste — zda się, że z niebiosów
spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
i odbite zawisły w iglastej uwięzi.

Cisza — — tylko dźwięk szumu słychać w skalnej
jakby skały i wody i limby i jodły, [dziczy,
rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
o rzeczy pełnej grozy, wielkiej, tajemniczej.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
zda się jakby dzwonienie szumu kołysały
i niosły je od jodeł i limb między skały — —
płyną — — znikły w rozłomach, lotne i rozwiewne.

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
rozwiały skrzydeł błony szerokie, przezrocze,
i ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
księżyc rzucił blask świetlny i całe srebrzyste
leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

Wtem podniosły się w górę — lecą — wkoło szczytów
wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
i uleciały w przestrzeń gwieździstych błękitów.

POZDROWIENIE.

Z ponad wiślanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
me pozdrowienie ztąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat,
i wszystkie łąki pozdrów wraz
i ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
ku stawom, halom gnaj,
i pozdrów mi po tysiąckroć
mój cały górski kraj.

Z DAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

I.

Czyś ty snem była?... Czy jak gwiazda blada,
co pośród mgławic niknie i przepada,
znikłaś, przepadłaś?... Spłynęłaś, jak fala,
co się przez chwilę w księżycu skrysztala?...
Jak woń, na wietrze niesiona od sadu,
precz uleciałaś, zginęła bez śladu?...
Czyś ty snem była?... Jakaś wizya złota,
jakieś marzenie z jezior szmaragdowych,
z śródleśnych zacisz i z lasów jodłowych,

z błękitnych zamgleń, z miesięcznego złota
powstała cudem?... Czyś w słońca uśmiechu
przemknęła, jako pył kwiatowy złoty?...
W tatrzańskich kaskad przebrzmiałaś mi echu,
nie zostawiając nic, oprócz tęsknoty?...

II.

Tyś nie umarła, a jednak zaiste
dla mnie zagasły twe oczy świetliste,
dla mnie są zimne twe usta, nie płonie
dla mnie krew ogniem w twojem młodem łonie.

W pamięci mojej złożyłem cię grobie
taką, jak byłaś — — gdy myślę o tobie,
widzę cię taką, jak niegdyś dziewczyną — —
a lata płyną, puste, głuche płyną.

III.

W pamięci mojej stanęła tak blada,
jak widmo senne,
a przed tem widmem cały świat upada
w głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
w głębie bezdenne,
przed jednym bladym i znikomym cieniem,
jak widmo senne.

IV.

Zdaleka patrzą na mnie twe oczy
błękitne, duże,
a chociaż takie są jasne, jak słońce,
powiek nie mrużę.

Powiek nie mrużę i nieolśniony
tym blaskiem stoję,
bo jak lód zimne, choć jak słońce, jasne
są oczy twoje.

V.

Coraz to większy czar mnie uderza
z lic twych obrazu,
patrzę weń często, często i długo
z tęsknotą bez wyrazu.

I z serca mego w twoje-bym serce
krew przelał, miła,
własnem mem życiem chciałbym to sprawić,
abyś mi ty ożyła...

VI.

Słyszałem ciebie... zdało mi się może,
lecz głos twój dzwonił mi chwilę w przestworze,
podobny woni, ziół i kwiatów echu,
co w przestrzeń leci w powietrznym oddechu.

Może bez wiedzy twej, we śnie, w odległy
kraj ku mnie myśli twe cicho pobiegły,
jak te jaskółki, co niekiedy wrócą
zobaczyć dawne gniazda, które rzucą.

VII.

Odbicie rysów jej stoi przedemną:
patrzę w te oczy przepełne słodyczy,
i znów mi wszystko pada w otchłań ciemną
przed bladym cieniem mojej Beatryczy.

Ja mogłem kochać tylko ciebie jedną!
Napróżno lata za latami liczę — —
wszystkie mych pragnień skrzące słońca bledną
przy bladym cieniu twoim, Beatrycze...

VIII.

Kocham cię jeszcze... Ani mnie powiedzieć
nie wolno tego, ani tobie wiedzieć,
lecz ja nie żądam nic, nawet pamięci...
A wszak tym, którym na oczy się rzuci
noc: o jasności nikt marzyć nie broni,
i to marzenie najwięcej ich nęci,
chociaż im jasność nigdy już nie wróci
i chociaż bardzo cierpią, tęskniąc do niej.

IX.

Nim mię zagryzie czczość i smutek życia,
spazm żądz daremnych i gorycz niewoli:
myślę o tobie, na zawsze stracona,
chcąc się zagłuszyć choćby tem, co boli.

Tak na ponurej, ciemnej morskiej fali
rozbitek, zanim odmęt go pochłonie,
chwyta się deski z potrzaskanej łodzi,
choć mu gwóźdź tkwiący w niej rozdziera dłonie.

X.

Dlaczegóż teraz nie mogę gdzieś z tobą
w zaciszu siedząc, wieść cichej rozmowy?
Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
na mem ramieniu uczuć twojej głowy?

Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
każdym oddechem, każdym kęsem chleba,
każdą radością i każdą boleścią — —
i tylko tak mi wiecznie tęsknić trzeba...

XI.

Idę przez drogę życia złą i ciemną,
　　dokąd?... czyż wiem?...
A zawsze, wszędzie twój cień idzie ze mną,
　　nocą i dniem.

Zawsze i wszędzie słucha serca mego
najskrytszych drgnień,
ani opuszcza mię, choć lata biegą,
twój blady cień.

XII.

Pamiętam ciebie... Zda mi się, że cała
jasność mojemu życiu przeznaczona,
przeszła wraz z tobą, wielka i wspaniała,
i nigdy więcej, nigdy nie zadnieje...
A nieraz jeszcze wyciągam ramiona
tęskne za tobą, jakbym miał nadzieję,
że przyjdziesz do mnie i nie mogę do tej
myśli przywyknąć, żeś dla mnie stracona,
że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty...
Pamiętam ciebie... Dzień mi bez godziny
nie spłynął jeden, choć lat zbiegło wiele,
żebyś ty z wspomnień mych ciemnej głębiny
nie wyłoniła się, cicha i blada,
jaką widziałem cię niegdyś w kościele
po raz ostatni... Naówczas owłada
mną taki smutek i tak wielka żałość,
jakbym cię wczoraj żegnał... Wobec cienia
postaci twojej, wobec przywidzenia,
czuję tę samą młodzieńczą nieśmiałość,
te same dziwne dreszcze i pragnienia,
jakiem czuł niegdyś — i nic już nie pomnę,

ni lat przebytych, ni późniejszych wrażeń,
i myśli moje błądzą nieprzytomne
w krainie zmarłych, zmartwychwstałych marzeń...

ZAMYŚLENIA.

I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata:
tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
podobna z nad mórz wzlatującej mewie,
wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmilsza godzina
lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
powoli w głąb się mieniąca świetlistą,
gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
i ciszy pełna, nie wiem, zkąd idąca,
bo nigdzie światła nie widać krynicy;
przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
blask większy, niźli promienienie słońca,
lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
leśnej podźwięki i wielka, niezmienna
spokojność jezior widnych w oddaleniach — —
i w owej pustej, niezgłębionej toni
myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

II.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen,
przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
ziemia i błękit i światła w błękicie
i bóstw idea, władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
gdzie? kiedy?... nie wiem, li wiem, że nie tu;
a tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... nie wiem, ni wiem, co jest tam,
kędy się ocknąć ze snu życia mam...
zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
w jasności jedność w jedno z nią współzlana.

Ach! Gdybyż nigdy nie rzucała mnie
z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
że cała nędza życia jest zwodniczem
widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

III.

Czcze wyobraźni odeszły mnie mary,
znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
oczy me giną w jakiejś pustce szarej
i myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
całe me życie jest we wnętrzu mojem,
cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
i drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
czarne jeziora rozsiane w pustkowiu:
w ciemnościach księżyc, blizko skraju ziemi,
wisi podobny do tarczy z ołowiu.

Ponad czarnemi wodami, szuwary
i trzciny rosną i smutno szeleszczą;
sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
księżyca chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
i, jako lampa zaniesiona w grotę,
świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
a blask księżyca pada nań żałobny.

Idzie powoli i zwieszone włóczy
skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
na własnych stopach opierając oczy
idzie w głąb głuchą i ciemną, samotny.

IV.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
do twego domu; ścigam cię oczyma,
choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niéma.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach,
jak gdyby w jakiemś przymglonem odbiciu;
jak kwiat, w strumienia odbity przezroczach,
jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy,
czuję twe ręce gdzieś nad moją głową
i pełen jestem o tobie zadumy
i żywszą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę,
zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie — —
ciebie jedynie czekam na mej drodze,
i choć się zawsze zawodzę boleśnie,
szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

V.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
czemu się do jej oczu paląca łza wciska,
czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
i czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
i czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
a wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

PRELUDYA.

Gdyby ból każdy, w ludzkiej piersi skryty,
jedną litości łzę wycisnął z oczu,
a łzy gwiazdami zalśniły w przezroczu:
to stałaby się błękitów opona
jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
choć w nieskończoność ciągną się błękity.

I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
co w cichych mroków oceanie toną,
cień w długiej szacie stoi nieruchomie
z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
ah! Chrystusowa to chyba twarz blada,
taka bolesna, taka beznadziejna.

II.

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
jak wampir, z duszy mej wyssało wiarę,
tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
przed mściwem bóstwem w modłach w prochu ściele,
lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi
w olbrzymim życia władnące kościele.

III.

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwoga,
bezradność mię owłada i chciałbym do Boga
wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale niemogę wołać... Jest coś, co okową
żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina
do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
i milcząc patrzę w wielką przestrzeń lazurową.

IV.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę
i zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięzko
losy ich zmogą jedną wielką klęską,
niż jeśli codzień po kropli im bryzną
w żyły powolną, lecz pewną trucizną.

V.

Szalone słonie przed się pędzą
niewiedząc dokąd, ani po co?
Nie dbając, co obalą piersią,
co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi
i próżną wszelka tu obrona — —
ni ją Prometeusza rozum,
ni Heraklesa moc pokona.

VI.

Czasem nagle uczuwam naokoło siebie
taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
by niewidzieć tej pustki na ziemi, na niebie,
a w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
a dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

VII.

Idzie na pola, idzie na bory,
na łąki i na sady,
na siwe wody, na śnieżne góry,
na miesiąc idzie blady,

idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
zkąd blask dróg mlecznych prószy,
idzie błękitna, cicha, skrzydlata
muzyka mojej duszy.

VIII.

Tam — — oby cisza już była na wieki,
tam — — jeśli wzniosą się jeszcze powieki,
to oby po to, by w jasność niedrżącą,
w blask skrysztalony spoglądać milcząco,
i ginąć w bezdniach sennego błękitu
i nic już nie czuć, nawet swego bytu.

IX.

Nadmiar wstrętu do życia codziennej podłości
jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą,
niemam już w sercu żadnej łaski i miłości,
gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — gdybym dziś z tej ziemi
odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy:
odchodziłbym z oczyma jako stal zimnemi,
nie odwracając nawet raz ostatni głowy.

X.

Smutną jest dusza moja aż do śmierci — —
opuszczam ręce, niech się co chce, dzieje,
już mi cios żaden mózgu nie przewierci,
bom już zeń wygnał do szczętu nadzieję.

I oto stoję milczący, jak we śnie,
nad urną pragnień mych rozbitą w ćwierci,
a żem ją strącić musiał w proch tak wcześnie,
smutną jest dusza moja aż do śmierci.

XI.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
cudny kobiecy głos mię zkądś dolata,
anielskie jakieś śpiewający pieśni,
piękniejsze, niźli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zasłuchuję duszą,
serce mi z piersi tęsknota wyrywa,
poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Niewiem,
czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

XII.

Ponuro gwiżdże północny wiatr,
świat ginie w chmurze śnieżnej —
zda się, że piersi rozerwie mi
żal gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
 życie mi całe spłynie?
nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
 świat w chmurze śnieżnej ginie.

XIII.

Lubię więdnące kwiaty, pełne bladej ciszy,
oczyma się patrzące w niebo omdlałemi —
modlitwę ich przedśmiertną ucho moje słyszy,
pożegnanie i razem powitanie ziemi.

Gdybyśmy tak umierać mogli, jak te kwiaty,
ziemię żegnać i ziemię wraz witać rodzicę,
a nie jakieś zaziemskie gdzieś przeczuwać światy,
błędnym wzrokiem w straszliwą patrzeć tajemnicę...

XIV.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
bo był otwarty raj także i mnie
w dzieciństwie mem.

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
że całe życie moje było snem — —
zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
w dzieciństwie mem...

XV.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
o skrzydła orle otarty wiatr,
o limby, co się patrzą w urwisko —
leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szał,
i tę zadumę limb, co się ciszą
wielką objęte, w pustce kołyszą.

XVI.

W wieczorną ciszę z daleka słyszę
szumiące cicho rzeki;
myśli me zwolna, sennie kołysze
szum cichy i daleki.

Wolno i sennie w wielki bezdennie
świat myśli moje płyną,
płyną nad gwiazdy lśniące promienie
i w ciemnej pustce giną.

XVII.

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
tęskniłem lata... Każde twoje słowo
słodkie w mem sercu wywołuje dreszcze — —
mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę —
mów do mnie jeszcze...

XVIII.

Serce me, smutku owiane żałobą,
słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije
we śnie o tobie marząc, serce czyje?
Czy cię nie woła? Nie tęskni za tobą?

Nie — nic nie słychać... Tylko smreki szumne
szumią, za wichrem pochylając czoła...
Próżno wytężasz słuch, nikt cię nie woła — —
o serce! bądźże na skargę za dumne!

XIX.

Skonaj ty serce wprzód, nimby cię miano
zdeptać szyderczo, lub karmić jałmużną;
nie patrz już w przeszłość — umarli nie wstaną,
ani patrz w przyszłość — pocóż czekać próżno?

W ciosaną z marzeń i tęsknoty trumnę
włożone zaśnij i śpij nieprzespanie,
na ból za martwe, na skargę za dumne — —
śpij — — oto słońce zaszło i nie wstanie.

ŁĄKA MISTYCZNA.

O cicha, jasna łąko, o zielona
łąko daleka:
ku tobie dusza smutna i zmęczona
z bagien i piasków posępnych ucieka,
wśród jasnej, cichej, zieloności twojej
szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych kryształnych zdroi,
o jakże nęci
twoja pogodna złocistość słoneczna;
o jakże koi
twa cisza wieczna...
O łąko jasna,
jako zagroda wydajesz się własna
tym, co na całej wszechziemskiej przestrzeni
głowy niemieli gdzie skłonić znużeni.
Letejską zdasz się zbawienną krynicą
dla tych, co w duszy mając żar i płomień,
żądz swych szukali żywych uwidomień,
choć prędzej cienie swoich ciał pochwycą...
Tam — niema więcej czasu i przestrzeni,
tam światłoskrzydłe, przejrzyste i śpiące,
w łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
godziny wiszą w powietrza ogromie,
nie pnąc się więcej za jasnością w słońce,

ani ku nocy chyląc się krawędziom —
zaczarowanym podobne łabędziom,
w promiennych łodziach wiszą nieruchomie..
Tam między polne
zioła i trawy i gaje pachnące,
i lilje, srebrnym świecące się puchem,
czyste i białe chodzą dusze wolne,
czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

PIERWOTNA PRZYRODA.

Cóż jest prócz ciebie, przyrodo pierwotna,
godnego duszy, co pęta druzgoce
i krwi ofiarą duszy wzmógłszy moce,
staje się górna, dumna i samotna?

Tam, w nieskończoność idzie ona przez twą
wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza,
i depcąc nędzne ziemskich złud bożyszcza,
przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako potok letejski jest dla niej,
kędy swe skrzydła wniebowstępne pławi,
kiedy je życie zbrudzi lub okrwawi
i chce ją strącić z pod gwiazd do otchłani.

W tobie jest wszystko i ten ład jest wieczny,
co duszę ranną, rozbolałą, krwawą
ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

ORZEŁ MORSKI.

W cuchnącej menażeryi, w niewielkiej drucianéj
klatce, na małym złomie bazaltowej skały,
siedzi, odąwszy piersi, smutny, osępiały
orzeł morski; tuż obok żółwie i pawiany.

Pokrwawionego kędyś w stepach go ujęto,
gdy mu kula złamała skrzydło pod obłokiem;
lata już całe bawi ludzi swym widokiem,
patrząc w pół ciemne okno źrenicą przymkniętą.

Bezduszne i bezmyślne gapią się nań tłumy,
gniewa je nieruchomość, obumarłość ptaka,
potrącają go, klatkę próbują zdjąć z haka,
ale niczem niemogą wyrwać go z zadumy.

W ciasnem, dusznem więzieniu dumny ptak kró-
[lewski
lat dziesiątki już ginie w męczarniach powoli;

za widok jego płacą, jego ból nie boli,
więc ginie, między druty zamknięty i deski.

A tam — szeroka, pusta niebiosów opona,
jasny, wielki krąg słońca daleko, daleko...
hen, w dole, chmur srebrzyste tumany się wleką
i płaszczyzna wód morskich, ciemna, nieskończona...

Tam — wysp zielone smugi i okrętów białe
migocące się ławy i bory olbrzymie;
wulkany, grzmot w czerwonym ciskające dymie,
i śnieg, srebrzący szarą górskich wierchów skałę.

I cicho... Tylko w głuszy słychać gdzieś dalekiej
gwiazd toczących się w bezdni grzmiące kołowroty,
z hukiem śmiga i pęka gdzieś meteor złoty — —
cicho... tu gwarną falą nie suną się wieki...

Oto noc. Siadłszy kędyś na podniebnej skale,
osrebrzony światłością księżyca, powoli
olbrzymi ptak zasypia w światła aureoli,
w majestacie potęgi i królewskiej chwale.

Śni mu się jego straszna moc i lot zuchwały,
śnią mu się łowy, walki, burze, oceany...
Cóż ci się tu śni, orle, w twej klatce drucianej?
I tu ci dano kawał bazaltowej skały!...

O SONECIE.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
a w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednem niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

zkąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie.

SZUKAJĄ BÓSTWA...

Szukają bóstwa: jedni z nich w popiele
nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
przy marmurowych posągów podnóżu,
albo w posępnym milczącym kościele;

inni ku niebu skroń podnosząc śmiele,
w słońc życiodajnych promienistym różu,
w gór, oceanom ochronnem przedmurzu,
w mądrem i dobrem wszechstworzenia dziele;

inni spokojni, cisi, zadumani,
w nieogarnionej szukają go głuszy,
w nieskończoności bezdennej otchłani — —

tak od początku swojego istnienia
wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
tylko go w własnej nie szukają duszy.

WSZECHMOCNY BÓG.

Wkoło mej głowy światy. Sam z siebie je
[tworzę
i sam w sobie je niszczę. Nieskończoność, wieczność
stworzyłem. Rozkazałem — i wstała konieczność,
by okuć wszechistnienie w wieczystą obrożę.

Zechcę i drzwi nicości istnieniu otworzę;
drżą światy, mojej woli widząc obosieczność
i czując dwóch idei nieustanną sprzeczność,
z których żadna dotychczas zwyciężyć nie może.

Lecz gdy zechcę, zwycięży ta, co niepojęta,
od wieków trwoży światy: idea niebytu,
i tylko sam zostanę, moc nieogarnięta.

Blade cienie, posępne, nikłe mary mytu,
kupią się niezliczoną chmurą pod me nogi:
depcę je w mej olbrzymiej chwale — to są bogi.

ZBRODNIE.

Na rozhukanych koniach, wśród zamieci,
w wirze kurzawy kłębów, chrzęstu, łomu,
wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu:
orszak fatalnych amazonek leci.

Lecą przez łany i stepy stuleci,
przez pieśni zwycięstw, przez jęki pogromu,
pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
przez wały złomisk, przez ogrody kwieci...

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
trzymając w rękach lilje i pochodnie,
krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion.

Jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion:
na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

HALA.

Cudna, złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu; cicha, słodka pieśni
wśród szumu trąb grzmiącego pod sklepy błękitu...

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu —
twój widok roześpiewi duszę i roześni
i marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
i ku białym obłokom na błękitnem niebie,
można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

utopić duszę całą w wód i lasów szumie
i w tej upajającej, bezkreśnej zadumie
chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

W KOŚCIELISKACH W NOCY.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tajemnicze milczenia w mgławicach oparów
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawice
i kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
zda się, widmo u groty głębokich podwoi — —
jak dziwnych głosów echo zkądś wśród gór po-
[brzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze —
cicho!... Jaki dreszcz szybko przemknął się gęstwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu — mogiła pod stosem chrustu i smreczyną —
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze — —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

DZWONY ŚW. PIOTRA W RZYMIE.

Za każdym grzmotem dzwonów zda się, że wylata,
z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
a każdy, z wichrem włosów, w swej ręce olbrzyma
miecz płomienny, w źrenicach sto błyskawic trzyma
i lecą... Ziemia gnie się... Nad miasty i sioły
zawisają spiżową chmurą te anioły
i zda się, swoją straszną i ogromną mocą,
słońce strącą gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ramiony,
ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
ten szturm klątew, rozpaczy, wściekłości i lęku,
farba zmieniona w kamień, pędzel w dłuto, siła,
co, zda się, góry pięścią na miał-by kruszyła!
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych powiek — —
wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

SŁOŃCE.

Słońce! słońce! słońce! słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
złote iskry skaczą z morza,
złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą po wodzie,
aż po Capri, po Sorrento —
na słoneczny wiatr okrętów
białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
na szmaragdach i błękitach,
fioletu ciemne plamy
w rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
przez przezroczą mgłę błękitną —
na ich stokach białe miasta,
jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto
jak jezioro lśni się morze —
srebrno-białej gładkiej tafli
jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
zda się z głębi, od Sorrenta,

wyjdzie cicho z morza Wenus
naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
strząśnie wody krople lśniące —
świat się pławi w złotym blasku —
słońce! słońce! słońce! słońce!

CAPRI.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce — —
była cicha godzina poranna,
woda jasna, szafirowo-szklanna,
cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki
róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,
które tutaj zrzuciły z warkoczy
przed wiekami cezarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
ich odbicie z kryształowej wody,
gdy się, chciwe swej własnej urody,
morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie czarów,
nad tą wodą szafirowo-szklanną,
w taką cichą godzinę poranną
słychać oddech kochanek cezarów.

NA CAPRI.

Z dwu stron wysepki szafir mórz
błyszczy się pianą;
różowe biegną stopy skał
w toń zwierciadlaną.

Na krzesanicy skalnej śpi
cień ciemno-siny;
wysoko w górze piętrzą się
jasne ruiny.

Ogromny, świetny słońca krąg
świeci w błękicie;
naokół pusto, pusto tak,
jak bywa życie.

W ZATOCE NEAPOLITAŃSKIEJ.

Srebrno-modra, jak metal błyszcząca,
nieskończonych wód powierzchnia leży;
słońce wsparło się o wodę blaskiem
i zasnęło w błękitnej bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
jaki dziwny spokój w tej naturze...

Wszystko tonie: woda, ziemia, niebo,
w przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
cisza ziemi z senną nieba głuszą;
w jeden lazur świat zmieniony zda się
być swą własną zadumaną duszą.

POD PORTICI.

Szmaragdowe tafle szklanne,
monotonne, nieustanne,
w srebrną piętrzą się fontannę
bijąc w brzeg,
i rzucają dyamenty
promieniste na odmęty
i w promienne wiją skręty
kropel śnieg.

Wielki okręt port opływa,
fala modra, srebrnogrzywa
idzie cicha i leniwa
za nim w ślad;
a gdy wiatr ją silniej trąca,
z głębin zrywa się do słońca
na kształt białych bielejąca
ptasich stad.

DANAE TYCYANA.

Na miękkim puchu białego posłania
promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieszczoty,
z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok słania
i nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
to bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
zwisł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
u stóp jej białych, podobny do świtu
gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

VIRGINI INTACTAE.

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uścisnął twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplótł w twoich włosów pęki,
ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
a ciała twego kształt smukły i miękki
zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to królewskie ciało
w niczyich ramion uścisku nie drżało?
Pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
nie trysła rozkosz kwiatami złotemi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na ziemi!

DYSKOBOL.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę
[mierzy — —
wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
głowę wzniósł, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
w ręce trzyma dysk krągły — — wstał pierwszy
[z szermierzy.

Jeszcze chwila — kołysze dysk, zanim uderzy —
wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwężył,
na prawej nodze całym ciężarem zaciężył —
rzuci — i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przegiął się — dysk w stalowych palców ścisnął
[kleszcze — —
kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
a boskie uda słodkie wstrząsaią im dreszcze.

WIZYA LIPCOWA.

Błękitnych jezior oddalone fale,
na falach słońce łagodne i senne,
zielone gaje, brzozy srebrnopienne,
bladych róż wieńce i maków korale.

Po łące, w szklannym powietrza krysztale,
powiewne, zda się od słońca promienne,
ludzkim podobne kształtom, lecz odmienne:
nagie postacie błądzą półomdlale.

Niezmierny spokój — — nad jeziora głębie
błękitne, ciche, srebrzy się pierś biała
pod jasne słońce lecącej rybitwy;

nad gajem krążą złociste gołębie,
a owe kształty pół z światła, pół z ciała,
zdają się tonąć w zamyśleń modlitwy.

EKSTAZA.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
w hymn mi się jeden łączą różnowzory,
w muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała...

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
jako przelotne świecisz meteory — —
pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
z twarzą od świata odwróconą, senną —
tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
chodzili cisi, senni między ludem —
oni widzieli cud i żyli cudem...

SYMBOL.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych wód tumany
na fale księżyc prześwieca miedziany
wśród gwiazd, o blasku przygasłym ołowiu.

Wiatr świszcząc głucho, jak w gęstem sitowiu,
pełza po wody powierzchni rozchwianej,
i, zda się, wlecze senne oceany
ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej,
w mglistym księżyca blasku się kołysze
krzyż — na nim Chrystus rozpięty bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
w niezmierną pustkę, płynie przed odmęty
krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty...

WIDZIADŁA OKRĘTÓW.

Noc. W ciemnem niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój — — wtem z głębin ciemnoty
blask jakiś blady w oddali migocze,
światło posępne, martwe, nieprzezrocze
błękitniejącej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — — dziw! smugami pnie się
wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli — i jak mgła w bezkresie,
giną gdzieś w pustce milczących odmętów
widziadła dawno przepadłych okrętów.

ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna ztąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą —
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo

i giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bolem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,

niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

POCHWAŁA DAWNEJ DZIELNOŚCI GRECKIEJ.

STROFA I.

Młodzieńcze grecki, co silny i śmiały,
jednegoś pragnął: nieśmiertelnej chwały;
jedną miał dumę: piersią swą zastawić
zagrożoną ojczyznę,
ubogie wzgórza i pola nieżyzne
od klęsk wybawić:
ku twej, o mężny, sławie i pamięci,
pieśń niech się moja dziś wzniesie i święci.

W bystre i zimne Eurotasu wody
młodzieńców Sparty skakał zastęp młody;
przez dzikie knieje, ostępy i haszcze
długokływego dzika
ścigali; morze nawie Ateńczyka
otwiera paszcze;
tessalskich źrebców z wichrowemi grzywy
dosiąść, tam żaden nie bywał leniwy.

STROFA II.

Naprzeciw Persów strasznej nawały
lwem na bawołu, szedł hufiec mały.
Przeszli z Aresa krwawych wysieków
w podziw potomnych najdalszych wieków.
Pod Maratonem i Salaminą
ci, co polegli w walce, nie giną,
lecz drugiem życiem z martwych ocknięci,
wiek na wiek walą w ludzkiej pamięci.

Trzystu Spartanów w Termopil jarze
bogom z czar wino wylało w darze.
Kserksesa milion gdy w nich uderzy:
milion od trzystu pierzchnął puklerzy.
Zdradą zwalczeni, legli nareszcie.
Brzmiał krzyk tryumfu po całem mieście,
bo ni jednego z nich nie ujrzano,
by krwawił raną w plecy zadaną.

STROFA III.

Delfy, gdy wrogów tłumem oblężone,
dwóch bohaterów daje im obronę,
jak wilków stado płoszące dwa tury;
w Sparcie piersi mieszkańców
miast bram obronnych były i miast szańców;
w Hades ponury
Epaminondas gdy szedł: to mu starczy,
że wróg nie uniósł z pola jego tarczy.

Pindar efebów idących w zawody
przez wiecznotrwałe upamiętnił ody;
jak potok deszczem spiętrzony nad brzegi,
co z gór się stromych pieni:
on się, ogromny, stacza ku bezdeni.
Wieków szeregi
idą — — tak niegdyś czyny czczono dzielne,
czyn wzajem pieśni budził nieśmiertelne.

A KIEDY BĘDZIESZ...

A kiedy będziesz moją żoną,
umiłowaną, poślubioną,
wówczas się ogród nam otworzy,
ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
pachnąć nam będą winogrady,
i róże śliczne i powoje
całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymgleń i promieni,
pójdziemy wolno alejami,
pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
narcyzy piąć się srebrną grzędą,
i padnie biały kwiat lipowy
na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
niezapominek i bławatów,
ustroję ciebie w paproć młodą
i świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymgleń i promieni,
pójdziemy w ogród pełen zorzy,
kędy drzwi miłość nam otworzy.

MUSZLA.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
jest to jeden z mych skarbów, choć warta
[tak mało;
nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.

Odkąd siebie: i muszlę tę pamiętam starą,
i dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą,
stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.

Ale najlepiej lubię, przymknąwszy powieki
przyłożyć ją do ucha i słuchać jak szumi;
wtenczas całą mą duszą wracam w świat daleki,
w toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.

Przypominają mi się pola i ogrody,
dom pośród ciemnych świerków i różanych krzewów,
pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
jasność kamyków na dnie, albo męt wylewów.

Przypominają mi się tajemnicze mroki
wśród szpalerów wieczorem, gdym pełen obawy
szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki,
ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany,
i groza, kiedy wichry rozpuściwszy grzywy,
wiozły z nich chmury gradu, lub śniegu tumany.

Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie.

Przypominają mi się te białe okręty,
płynące w wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
błękitna, straszna cisza, albo burzą wzdęty
ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.

Przypominają mi się pierwsze uczuć świty,
pierwsze miłości moje z bajek Andersena;
pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiéty,
która nęci, jak w falach niewidna syrena.

Pierwszą moją miłością była świtezianka
zakochana w młodzieńcu pięknym z okolicy,
co, by zawsze być blizko swojego kochanka,
stratą głosu kształt ziemski kupiła kobiécy.

I ta mała dziewczynka wśród śniegów i lodu,
na stepie renifery karmiąca rogate,
co miała wał śniegowy za mur do ogrodu,
w nim lodowe zarośla i lodową chatę.

Inna, kędyś łabędzi powieziona parą,
nie wzięła nic ze sobą, tylko piosnkę rzewną;
spotkała w lesie smoka, czarownicę starą,
i wróżka ją cudowna zrobiła królewną.

Tym wszystkim wyobraźni kochankom dziecinnej
dawałem duże, jasno-szafirowe oczy,
białe ciało o linii falistej i płynnej,
blond włosy i głos pełen melodyi uroczej.

Jeszcze słyszę, jak mówią, jak dźwięczą nademną
kryształem tego głosu, co o srebro trąca —
spotkałem głos ten później — i dziś nocą ciemną
zda mi się, że na szybie zabrzmiał w łzach miesiąca.

Zdaje mi się, że głos ten sam do mnie przylata
powiedzieć mi te słowa, które słyszeć miałem — —
zabrzmiał i jak jaskółka odbiega skrzydlata,
i martwy blask po oknie pełznie oniemiałem...

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie śni? —
zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;
człowiek się ze snu budzi, tem lepiej im wcześniej,
i taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.

Dusza jego na pozór zostanie jednaka,
jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
tylko będzie jak skrzydło postrzelone ptaka:
wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.

Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
a jeśli to był żóraw, przeraża go morze;
lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
i długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...

Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
i gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.

Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dziewiczych,
w jakichś górach przepastnych, w jakichś pieczar
[sklepach,
po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.

Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce — —
po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nizko,
odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
obejmują milczących pustek uroczysko.

Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
w wilgotnych szarych mgławic falującym dymie
jakby martwe zamarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema... pustynia, stepy, góry, morze
i duszy mojej smętna, zadumana mara;
patrzę wkoło i nieraz sam w sobie się trwożę —
gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla stara.

Jest-li to ten świat dawny, który przed miljonem
wieków ona pamięta? Są to urojenia
obłąkanej fantazyi, co w oku szalonem
ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...

Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
tam dusza moja siada na omglonym głazie
i gdy się cała w sobie skupi i zasklepi:
tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.

Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep błękitu.

Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza,
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.

Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj daleki;
szumi mi, jak me serce — — gdy doń przytknę ucho,
słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki...

TRĄCONA STRUNA.

Z głębi jeziora do księżyca
płynie melodya srebrnolica...

W głębinie lasu wśród paproci
szmer się w księżyca blasku złoci...

Zwełnione grzywy morskiej piany
niosą w księżycu szum świetlany...

Wśród róż nadwodnych woni świeżej
piękna dziewczyna naga leży...

Księżyc we włosach jej migota,
jej ciało jest jak harfa złota...

Róże się słonią w mgłę przegonną,
jej włosy dźwięczą pieśnią wonną...

NA PAMIĄTKĘ.

PISANE DLA KAZIMIERY ZAWISTOWSKIEJ.

Jeżeli duchy mają żywot wieczny,
jeżeli wieczne przechodzą przemiany,
to ziemia dla nich jest tragedyą bytu;
żywotów jakichś marzą blask słoneczny
i chcą dla siebie czegoś z za błękitu —
i na nędz swoich patrzą krwawe rany.

* * *

Jeżeli kiedy choć godzinę jedną
jak gdyby cichem, dalekiem ustroniem
było ci serce czyje; jeśli chwilę
spokój i ulgę w niem miałaś bezwiedną:
to już to serce zasłużyło tyle,
ażeby więcej nie zapomnieć o niem.

* * *

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi:
zatłumić w sobie dzikie ludzkie zwierzę,
za ideami lecieć słonecznemi
i zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze
i zapomniawszy swojej doli własnej,
niedolom cudzym być jak anioł jasny.

GRÓB POETY.

(IGNOTO MORTUO).

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi
i nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
niema kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział mowy,
wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
i odeszli czemprędzej, gdy grób zasypano —
został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy zdziera —
starać się zostać błaznem pana lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza
z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,
już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia wielka, straszna skarga
wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący i blady
pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się sąsiady,
drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
odchodziła poety dusza precz od ziemi

i podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
wracała, zkąd przychodzi na ziemię natchnienie..
Wzdymaj się srebrnomodre nieskończone morze!
Wzdymaj się! ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
jego zwycięzkiej śmierci to godna muzyka!...
Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła...
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet ognistem,
lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwistem...
Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych
[w bluszcze,
kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu;
gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od lodu,
wszystkich wulkanów ognie, wszystko, wszystko
[dla niej!
Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani...
Wolna, jak mgła powietrzna na niezmiernem niebie,
lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla siebie,
wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
i wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy — —
ha! z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,

leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
opada w dół i znów się porywa do góry,
aż wreszcie, rozszalała jak gryf złotopióry,
z mórz na morza przelata, ściga grzmiące burze,
i kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
rzuci się odpoczywać na srebrzystej fali...

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
nic kaskad jego natchnień tamować nie może...
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
pierzchać przed strasznem widmem życiowej niedoli—
oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.
Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
nad jego młodą głową splatały się w wieńce
i prosiły, składając jak do modłów ręce:
oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
chcemy na świat! Patrz, jakie piękne i tęczowe,
daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czołem
[błysnąć,
daj nam ciało, daj duszę... A on ściskał głowę,
co pękała w gorączce i pytał sam siebie:
co jutro? lecz co jutro? Czy z okna się cisnąć?
czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
Dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką

pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
i jak upiór się poić zda ofiary męką,
unicestwioną siłą i życiem złamanem?
Dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
myśl swą, krew swą przemieniać w towar na jar-
[marku,
szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
Dalej z niebowstępnego cisz i wyżyn lotu
opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
gardząc własną słabością i dolą ofiary?

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem:
kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
tego duch potępiony, imię jego przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki
próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
pierś porani i siły wyczerpie ostatki:
oszalały, z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

PRZEZ TURNIE, PUSTKI...

Przez turnie, pustki wiatr ściga mgły,
ściga niechwytne nad wodną toń — —

o serce ludzkie, ścigaj swe sny,
przez turnie, pustki je goń.

Ścigaj niechwytne twoje sny-mgły,
aż cię ból zdejmie i żal i gniew,
goń je, aż z ciebie wytrysną łzy,
wytrysną łzy, wytryśnie krew...

POD MARTWĄ SKAŁĄ...

Pod martwą skałą więdną górskie kwiaty,
zwarzył je mróz,
burzą strącony i zniesiony deszczem
przysypał gruz.

Więdną i próżno patrzą się ku słońcu
z pod martwych skał —
i po co na tę śmierć nieuchronioną
wiatr tam je siał?...

GDZIE JEST...

Gdzie jest twój sen? Gdzie jest twój sen?
spytało wielkie morze;
góry spytały gdzie jest mój sen,
i szum mnie spytał w borze.

Słońce mię pyta: gdzie jest twój sen,
sen, co był sercem w tobie?
Gdzie jest mój sen? Gdzie jest mój sen?
Wraz z sercem mojem w grobie.

PONURE WIDMO...

Ponure widmo, co nad wodne głębie
płyniesz w obłoków zawichrzonych kłębie,
niesione wichrem rozszalałym halnym,
straszne, że smreki drżą na brzegu skalnym:

mnie nie przerazisz... Gdyby wyszła ze mnie
mara mej duszy na te wodne ciemnie,
to przed jej smutkiem ty, górskie widziadło,
cofnęłobyś się i w turniach przepadło.

PORANNE BIAŁE...

Poranne białe płyną mgły
pod Beskid modrosiny;
nad Granatami słońce się lśni
przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nizko, schodzi cień
z ciemnych jeziorek głuszy;
blady, jesienny powstaje dzień
i ranną rosą prószy.

Na hali deski pustych strzech
zdaleka lśnią do słońca;
dokoła trawa, kamień i mech,
pustka, jak grób milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
z szumem się w górze mącą
i zapadają, jak ludzkie sny,
w przepaść, jak grób milczącą.

DALEKO ZOSTAŁ...

Daleko został cały świat,
wiatr tylko po uboczy
nagiej, pożółkłej, po szarych mchach,
jęczące skrzydła włóczy.

Nie przyszła tutaj ze mną wraz
pamięć, ni myśl niczyja,
tylko tęsknota, co duszę rwie,
tęsknota, co zabija...

ZASZUMIAŁ CIEMNY...

Zaszumiał ciemny, głęboki las,
żałość się po nim niesie,
niezmierny smutek, ogromny ból
zaszumiał w ciemnym lesie.

Czemuż, o lesie, konary twe
tak smutną pieśń zawiodły?
Czy piorun spalił, lub topór ściął
twe najpiękniejsze jodły?

WE MGŁACH STRUMIENIE...

We mgłach strumienie szumią wód
po skale biegnąc ściętej;
we mgłach wieczorny opadł chłód
na sennych fal odmęty;

we mgłach żałobny pomrok z hal
i ciemnych zszedł krzesanic —
i we mgłach spływa żal, ach żal
bez dna, bez dna, bez granic...

CIEMNOSMRECZYŃSKI STAW.

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,

w posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
nagich, skrzesanych ścian,
mech pnie się osiwiały
i kosodrzewu łan.

Niezmierna martwa głusza
zaległa skał tych kąt:
przeciągła pieśń pastusza
nigdy nie zabrzmi ztąd.

Czasem się wiatr w kotlinie
z skalnych przetacza wrót,
po kosodrzewie płynie
i mąci ciszę wód;

czasem się złom rozkrusza
od ryku wściekłych burz —
zresztą niezmierna głusza,
martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzał z góry,
błądząc po wierchach sam,
w kotliny głąb ponurej:
ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamanemi
u skalnych legła stóp

i kryła twarz ku ziemi,
smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
swój ból tu przyszła kryć?...

DZIWNA CHWILA.

Czas płynie... Nigdy więcej nie przyjdą ku sobie —
rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela dalej...

Stracona chwila złudy... Już jak grobu płyta
powoli mchem zarasta i pleśnią zakwita:
tak owa chwila w pomrok wspomnienia się chowa
i zwolna ginie z oczu, jak płyta grobowa.

Rozstali się... Czy patrzą jeszcze kiedy w stronę
swojej dawnej przeszłości? Czy oczy zaćmione
mimowolnie mgłą żalu zwracają ku sobie,
żyjąc, jakby na innym każde żyło globie?...

Obcy są sobie do dna...

Raz, w dalekich górach,
gdy się wieczór na ziemię w ciemnych zsuwał chmu-
wieczór górski, jesienny, posępny i słotny; [rach,
na Anioł Pański dzwon bił. Siedziałem samotny
patrząc w okno. Tak pusto mi było, jakoby
same mię otoczyły mogiły i groby,
a dusza moja, nakształt oślepłego ptaka,
co bijąc skrzydłem próżno, nie chce zfrunąć z krzaka,
błąkała mi się w piersi smutna i samotna
i ciemna, jako noc ta w mrocznych chmurach słotna.
Nagle począł dzwon dźwięczeć... W tej pustce, w tym
[mroku,
na nieskończone lasów i tęsknot otchłanie,
smutny, w przestrzeń płynący dzwon na Zwiasto-
[wanie,
jak u nas tam daleko, u gór moich stoku...
I zdało mi się wówczas, że z chmur, jak lilija,
wykwitnie twarz anielska, że się mgła rozwija
i że z mgły, nakształt srebrnej światłości księżyca,
srebrna, cicha i jasna zjawi się Dziewica...
Jam wówczas tylko wierzył... I wówczas, w tej
[zmroczy,
w owej dalekiej stronie, w obczyźnie dalekiej,
w tej samotności grobu, gdym wznosił powieki
i spojrzałem ku niebu — zawilgły mi oczy...
Wezbrało mi się serce... Byłbym ziemię całą
cisnął do mego serca — ono świat kochało,
to puste, głuche serce w ową dziwną chwilę
kochało świat do łez...

Byłem podniesiony
w nieziemskie i nieznane mi dotąd regiony
jakiejś wielkiej miłości, ukojeń wzajemnych,
zapomnień krzywd i żalów i uniesień ziemnych — —
byłem, jakby na zmarłych ziemskich żądz mogile.
Czułem w wnętrzu mem, w piersi, duch, co się kołysze
ponad wszystkiem, co ludzkie, z niczem się nie zspala,
jest jako mgła nad rzeką, pod którą grzmi fala,
a ona ma swą wieczną, niezmąconą ciszę...
I rzekły moje usta w ową dziwną chwilę
wielkie, święte i czyste: ave Maria...

Rozstali się — — i nigdy nie przyjdą ku sobie,
rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela dalej —
są sobie obcy do dna.
Lecz czyż nigdy ona
nie uczuła nad sercem, jakby wzdłuż jej łona
płynęła ciepła, duża spadła łza deszczowa?
I nigdy nie słyszała w wieczornej godzinie,
kiedy dusza się Bogu, jako kwiat rozwinie,
cichego słów szelestu: bądź zdrowa! bądź zdrowa!
bądź szczęśliwa na wieki! bądź błogosławiona!?...

ZDALEKA OD LUDZKIEGO ZGIEŁKU...

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
czasem dusza kobiety jest, jak w gór załomie,

pod niedostępnym szczytem i ścianą urwiska,
woda głębokich jezior, skryta niewidomie.

Przecudowne gry światła na przejrzystej fali,
noce, gdy gwiazdy schodzą czerpać na dół wodę,
dni, kiedy się powierzchnia kolorami pali,
burze w czas wichru, cisze przesłodkie w pogodę;

łabędzie, które lecąc na toni przypadną,
cień orlich skrzydeł, co się z obłoków odbija,
mgły, co się na zwierciadłach nieruchome kładną:
tych cudów tam źrenica nie widzi niczyja.

A ci, co marzą wielkie piękności na ziemi,
którzyby chcieli o nie piersiami uderzyć
i wchłaniać je w głąb duszy zmysłami wszystkiemi:
nie znajdując ich w życiu — przestają w nie wierzyć.

Wtem ktoś, jakby wewnętrzne przeczucie go wiodło,
odkrywa załom skalny i staje w zachwycie —
i serce, które w piersi miał za próżne godło,
obudzone zachwytem, nowe czuje życie.

Z piękna albowiem wstaje duch świeży i młody,
rosnąc lub straconego żałując ogromu...
Czasem dusza kobiety jest, jak owe wody
przecudownej piękności, nieznane nikomu.

POUR PASSER LE TEMPS OKTAWĄ.

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła,
choć się łaskawie obejmować dała;
nigdy, gdy szepnął z ściśniętego gardła
»kocham« — nie rzekła nic, tylko słuchała.
Jemu się z bólu dusza w sztuki darła,
bo nic w niej znaleźć nie mógł, oprócz ciała,
i to, co pomnieć musiał nieustannie,
o ile szukać wypadało w pannie.

Albowiem panną była, a za wiano,
prócz dwóch wsi, miała urodę Dyany.
Młodzież w niej cała była zakochaną,
wszystkie jej również nie cierpiały panny.
Rodziców dawno w grobie pochowano,
w klasztorze wiek swój przeżyła poranny,
gdzie się, w sekrecie przed swą przełożoną,
najczęściej w żonę i męża bawiono.

Potem, gdy suknię już zrzuciła krótką,
gdy się jej wiosna zaczęła siedmnasta,
w Warszawie z ciotką mieszkała rozwódką
i poznawała obyczaje miasta.
Była »naiwną« trochę i »filutką«,
lubiła jeszcze bardzo szczerze ciasta — —
tymczasem, jak jest powszechnie przyjętem,
posag jej gdzieś się zapodział ze szczętem.

Mówią, że jej opiekun kamienicę
i wioskę kupił gdzieś około Bałty...
Zwyczajna potwarz. Śliczną siostrzenicę
mając u siebie, ciotka jęła rauty
i bale dawać, różne tajemnice
tualetowe kłaść na różne kształty,
myśląc, i słusznie, że z jednego rożna
często pieczenie dwie zdjąć naraz można.

Miała trzydzieści pięć lat i Wilhelma
Kufkego — był to z zawodu piwowar —
na oku; wprawdzie »jak but była szelma«,
lecz sto tysięcy czysto niósł mu browar.
Eheu! Jak często człowiek próżny cel ma!
Kufke był kupcem i wiedział co towar,
a co tandeta — — oświadczył się wkrótce,
lecz siostrzenicy, nie ciotce-rozwódce.

Przyjęła... Próżno do nóg jej się ciskał
kochanek — — miał wieś, ale tylko jedną...
Prócz plam na spodniach, nic więcej nie zyskał;
widział, że nawet lica jej nie bledną,
gdy jemu w sztuki mózg pod czaszką pryskał
i gdy rękami cisnął głowę biedną...
Więc zrozpaczony poszedł precz, a ona
dostała swą rubrykę: Kufke-żona.

Po tym wypadku on zerwał ze światem
i cały chłopom oddał się u siebie.

Był im i ojcem zarazem i bratem,
bronił ich, karmił na swym własnym chlebie —
za to psu jego chłopi oczy batem
wybili, potem ukradli mu źrebię —
(psu, bo szedł drogą; źrebię, bo się dało) —
wreszcie spalili mu krescencyę całą.

To zniechęciło go i osiadł w mieście,
gdzie z artystami żył, bo lubił sztukę.
Jednego, rubli mu na miesiąc dwieście
dając, wyprawił do Włoch na naukę.
Lecz nagle z banku pewnego w Tryeście
dano mu słodką do wypłat prynukę,
każąc zapłacić przez pozwy naglące
na sfałszowany podpis dwa tysiące.

To go zmieszało tak, że horoskopów
już nie pytając żadnych, co mu radzą:
wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
okno idei zasmarował sadzą,
jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
jeszcze raz spojrzał, jak kartofle sadzą,
i z swem ojczystem rozstawszy się polem,
zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Tę willę wielkim otoczył parkanem,
parkan zaś cały oplótł żywopłotem;
wewnątrz park kwieciem ustroił różanem,
pąsem kaktusów i pomarańcz złotem;

postawił namiot pod chłodnym platanem,
zawiesił miękki hamak pod namiotem,
i wodzie w lilje ubrawszy krawędzie,
flamingi na nią puścił i łabędzie.

W alejach parku, w cyprysowych cieniach,
rozstawił białe boginie kamienne;
na okwieconych stały podniesieniach
prześliczne, nagie, nieruchome, senne...
Srebrzyste w srebrnych księżyca promieniach,
w promiennej słońca jasności promienne,
na tle drzew ciemnych bieliły się cudnie
blade wśród nocy, świetlane w południe.

Z parku miał widok na morza błękity,
na ściany Capri, co się lśnią i bielą,
na Wezuwiusza płomieniste kity,
na w mgłach różanych widny Sant' Angelo — —
widok miał bardzo piękny i odkryty,
i nieraz siedząc nad morską topielą
cieszył się, patrząc na przejrzysty lazur,
że żaden w parku tym nie bywa mazur.

Miał także własną łódkę, którą czasem
płynął na morze, kiedy woda gładka
była tęczami świecącym atłasem.
Zawsze mew za nim leciała gromadka,
którym jeść rzucał, i nad wodą pasem
krążyły śnieżnym, że łódź jako chatka

zdała się polska pod gołębi sznurem,
jak łąk zielenią, oblana lazurem.

Tam na wznak leżąc ku niebu oczyma,
nieraz dni całe przepędzał samotnie,
myśląc, że przeszło lato, przyjdzie zima,
albo też myśląc to samo odwrotnie.
Myślał, że czego braknie, tego niéma,
że tysiąc razy znaczy tysiąckrotnie,
że fasolowy sos robi się z fasol
i że od deszczu ochrania parasol.

Czasem też bawił się wspomnień zabawą,
niejedną złoto- znał i czarno-brewą — —
z tych jedna miała pierś lewą i prawą,
a druga miała pierś prawą i lewą...
Tą przeżuwaną znudziwszy się strawą
patrzał bezmyślnie za skrzydlatą mewą,
albo na nieba patrzał błękit czysty,
albo na spinek swoich ametysty.

A czasem leżąc w łodzi, mimowoli
wracał pamięcią w swoje dawne strony,
do swoich łanów i do swych topoli,
do swoich wiklin — i do Kufke-żony,
która tymczasem Kufkemu kark woli
obejmowała białemi ramiony...
Tak sądził, chwiejną kołysany łódką,
nie wiedząc, że to trwało bardzo krótko...

I wyciągały mu się ku niej ręce
i pierś pękała z żalu i tęsknoty...
Widział jej usta krasne i dziewczęce
i szafir oczu raz srebrny, raz złoty...
Widział jej blade, przejrzyste rumieńce,
półciemnych włosów miękkie, bujne sploty
i urokami czarujące łono — —
i wkoło wodę pustą, nieskończoną...

Ogromną wodę, po której okręty
szły, białym żaglem świecąc się pod słońce;
przestwór niezmierny i nieogarnięty,
gdzie dusze smętne, błędne i tęskniące,
jako mar poczet włóczą się zaklęty
i bóle swoje i skargi palące
topią w bezdennej głuszy i otchłani,
idąc, jak ludzie z ojczyzny wygnani...

Pani Kufkowa wiedziała najpewniej
że jest kochaną wciąż i bez pamięci,
z wszystkiem, co dobre i wszystkiem, co złe w niej,
nawet myślała o tem nie bez chęci,
sądząc, że wielce się przez to »królewni«,
»anielkowuje«, podnosi i święci,
i że z Henrykiem, co gdzieś dla niej kona,
jest ponad wiele kobiet — wyróżniona.

W jej biurku leżał list. Miał z Bazylei
pieczęć, pisany być musiał w wagonie.

List ten brzmiał: »Pani! Więc reszta nadziei,
jak kamień w wodzie niezgłębionej tonie?!
Więc tak?! Huczące wśród śnieżnej zawiei
Alpy mi zdają się walić na skronie — —
Więc tak?!... Napróżnom serce wydarł z piersi
i do nóg cisnął ci... Lecz czyż my pierwsi?...

I tylko nie wiem, czemu w mojej duszy
jest ból, jak gdyby pierwszy ból na ziemi?
Czemu to serce tak się rwie i kruszy,
jakby wszystkiemi mękami ludzkiemi
cierpiało we mnie... Czemu tej katuszy
we mnie zwyczajna ta myśl nie oniemi,
że serca mrą z boleści, lecz powoli,
zapominają o tem, co je boli?

Tylko w nich smutek pozostaje cichy
i dziwna smętność marzeń — — bo ja to wiem,
lecz dziś jest we mnie bunt i piekło pychy,
i żal, serdeczny żal... Ach! niewypowiem
ile jest we mnie żalu... Ot jak lichy
robak ci do nóg pełzłem — — życiem, zdrowiem,
krwią, mózgiem, sercem byłbym o twe szczęście
walczył... wolałaś z bogatszym zamęźcie...

Ja sam już nawet nie wiem dobrze, kto to
bezmiłosiernie z mych rąk cię wyrywa?
Nic nie wiem, czuję tylko, że mię gniotą,
że jakaś krzywda mię łamie straszliwa,

że mi się serce bólem i tęsknotą
rwie, że z mych piersi krew ucieka żywa,
że... sam już nie wiem co piszę... pod czołem
wszystko mi nagle stało się popiołem.

Zrobiłaś duszę mą jedną ruiną,
pełną strzaskanych kolumn, gruzu, łomu,
najświętszy ołtarz mój oplwałaś śliną,
z kraju wygnałaś mnie i z mego domu — —
wszystkie me czucia, wiedz, przez ciebie giną,
nie znam już prawdy, nie znam wstydu, sromu,
nie wiem, co żadne święte słowo znaczy,
nie znam na świecie nic — oprócz rozpaczy...

Jak pies u nóg twych chciałem leżeć, stopy
całować twoje i jeszcze to sobie
mieć za raj szczęścia... Dziś — — pół Europy
dzieli nas... O ty!... Wszakżem twoje obie
ręce na szyi miał... Jak światła snopy
na łąkę lecą o porannej dobie:
tak mi z twych oczu szedł blask w głębię ducha...
Dziś co?... Ta pustka Alp dokoła głucha...

Pamiętasz? Nie raz to i nie dwa razy
mdlałaś w ramionach moich, o Irenko,
niezrozumiałe mi szepcąc wyrazy
i włosy moje plącząc drżącą ręką...
Chciałażeś tylko zmysłowej ekstazy?
Upojeń? Szału? Tak?... Ach! jeszcze miękką

twą kibić czuję tu, na mojem ręku
przegiętą, w włosów rozsypanych pęku...

I czuję ciepło twego ciała jeszcze,
ciepło twych westchnień i spojrzeń, o droga!
Jeszcze na rękach cię tu mam i pieszczę,
pieszczę, całuję... Na żywego Boga!
Jak ból to serce w rozpalone kleszcze
chwyta; jak burza grzmi po Alpach sroga,
jak się te góry po jeziorach dwoją:
tak ci przysięgam dziś, że będziesz moją!...«

Ten list rok leżał u pani Kufkowej
w biurku; przez ten czas Henryk na wsi bawił,
potem wyjechał, zaś ona miodowy
czas przepędzała w Nizzy, gdzie się pławił
pan Kufke w morzu i kwiatach. W okowy
Amor go srogie wziął i srodze dławił,
bo wśród akacyj chodząc i wśród bluszczu,
pan Kufke stracił dziesięć funtów tłuszczu.

A żona nie utyła... Rok upływa,
pani Irena jest zawsze powiewna...
Mówią, że trochę ma wstrętu do — — piwa...
Mówią — — lecz rzecz to nie jest wcale pewna...
Ludzka złośliwość jest taka złośliwa...
Dość, że po świecie chodzi jak królewna,
a przy niej, kufa z piwem przy kolumnie,
jej mąż, pan Kufke, poważnie i dumnie.

(Miał sto tysięcy rocznie). Nieczytany
list leżał w biurku; lecz raz gdy na balet
mąż poszedł, ona swej garderobianej
chcąc wybrać jedną ze starych tualet,
w swym buduarze, w którym wszystkie ściany
świecą tęczami wachlarzów i palet,
otwarła biurko, gdzie kluczyki kładzie,
i list przypadkiem spostrzegła w szufladzie.

Wzięła i zbladła trochę i z powrotem
chciała położyć — wyjęła z koperty
i jęła czytać te słowa, z łoskotem
wielkim pisane, bez logiki, *per ty*.
Zarumieniła się, znów zbladła, potem
zgarnąwszy nowych »Mód paryzkich« sterty,
usiadła na fotelu z listem w ręku,
przegięta, w włosów rozsypanych pęku.

Siedziała długo, w tył schyliła głowę,
list na kolana padł, ręce jej zwisły;
przez twarz jej bladą szły ognie pąsowe
i pierś wznosiła się w sukni obcisłej.
Dreszcze ją jakieś wstrząsały nerwowe
i w oczach jakby dwie wielkie łzy błysły — —
przycięła usta i nogę na nogę
kładąc, westchnęła... List spadł na podłogę.

Siedziała długo. Wtem ozwał się dzwonek — —
drgnęła, wydęła usta marszcząc czoło

i list włożyła między stos koronek.
Mąż wrócił. Wyszła z twarzą niewesołą,
siadła do stołu i biorąc za trzonek
widelca, naprzód przyjrzała się wkoło
ścianom, obrazom, zwierciadłu, papudze,
a potem rzekła zwolna: »Ja się nudzę«.

»Nudzisz się, żonko?! Mieć takie pokoje!
Nikt niema mebli ładniejszych w Warszawie!
Nudzisz się?!« »Nudzę«. »Chcesz, to, serce moje,
nowe obicie do salonu sprawię?«
»Nie«. »No to może pojedziem oboje
naprzykład do Berlina? Nie? To wstawię
w twoją rubrykę — — nie? To nie mam słów już — —
cóż chcesz?« »Chcę widzieć Baje i Wezuwiusz«.

»Baje? Lecz baja dawno jest niemodną,
nikt już nie nosi bai i — —« Z pod oka
patrząc, Irena rzekła na to chłodno:
»Baje, to mężu jest morska zatoka,
nie sukno; chcę tam brać kuracyę wodną.
A zaś Wezuwiusz to góra wysoka,
wulkan, nad Neapolem. Pojedziemy?«
Mąż skinął głową czerwony i niemy.

Tymczasem Henryk znudził się w swej willi
i na operę poszedł: grano Mignon.
Wtem, gdy w antrakcie widze brawo bili
łaskawą darząc artystów opinią,

spojrzał do góry — i w tejże go chwili
dreszcz przebiegł: ujrzał za jakąś Wirginią
rzymską, cud — — chyba poszła na paradyz
Eunice — (czytał był właśnie Quo vadis).

Jak się zapoznał z niemi, mniejsza o to;
dość, że niedługo cudny skarb dziewczęcy
nabył od matki gotówką za złoto,
dając w ludwikach franków pięć tysięcy.
Dziewczyna poszła do willi z ochotą,
był to zaiste dla niej los książęcy,
a nadto matka ze stryjem Briganti
chcieli ją sprzedać w »Casa Fioravanti«.

Viola poszła z domu z obcym panem
w brudnej sukience, w podartej koszuli;
tam wszystko było już przygotowanem,
kąpiel jej dali, odziali, obuli;
dali jej pokój zasłany dywanem,
mnóstwo batystów, koronek i tiuli,
kilka zwierciadeł, kanapę z poduszką,
dwa kandelabry i francuzkie łóżko.

Jedno zwierciadło miała z lewej strony,
drugie po prawej, trzecie u sufitu.
Tapicer nawet był tem zachwycony
i w sufit haki bił pełen zachwytu.
Miała też ganek na morze rzucony,
na wodę z różu, srebra i błękitu,

cichą, głęboką, pustą i niezmierną,
i w szafie asti, szampan i falerno.

Było południe. Siedzieli oboje
w parku nad morzem. Jej płynęły z głowy
złotawych włosów wite w loki zwoje
na smukłych ramion kształt alabastrowy.
Nosiła w domu na pół greckie stroje,
które jej wdzięki kryły do połowy,
i teraz, w białej tuniki rozcięciu,
widać jej było białe biodro w zgięciu.

Na morze oczy obróciła duże,
łagodne, smętne, czyste oczy Psychy,
i wodząc niemi po złotym lazurze
miała w nich morza uśpionego cichy
błękitny uśmiech. W drobnej dłoni róże
trzymała, wielkie więdnące kielichy,
co miały w blasku więdnących szkarłatów
ten dziwny smutek konających kwiatów.

W białej tunice, w wianku róż na głowie,
z różami w dłoni, cicha, zamyślona,
była, jak Nimfy gdzieś w greckiej dąbrowie
zrodzone z baśni. A fala złocona
jej białe stopy brała za wezgłowie,
lub zawisała perłą u jej łona,
albo na róże i włos rozwinięty,
wielkie i jasne siała dyamenty.

Henryk ramieniem otoczył jej szyję,
lubieżną szyję marzącej Charyty,
i czuł jak serce u dziewczyny bije
w piersi okrągłej, pełnej, półodkrytej.
Ile się żaru pod tą piersią kryje,
wiedział, i wiedział, jak jej ócz błękity
mdleją z pod powiek, gdy na pół zemdlona
w tył się przechyla, otwarłszy ramiona.

Przed niemi morze grało zmienną tęczą
przesrebrzanego w lazur fioletu,
pokryte gazą oparu pajęczą,
co od w łuk giętych gór modrego grzbietu,
hen, ponad siną zatoki obręczą,
wisiała drżąca, jakby dźwiękiem fletu
kędyś wśród laurów ukrytego Pana
w błękitne rytmy sennie kołysana.

Siedzieli cicho, wsłuchani w milczenie
odległych pustek, w bezmiar wód wpatrzeni,
samotni, cisi, bez ruchu, dwa cienie
wyszłe z cyprysów tajemnej zieleni.
Tylko swe zgodne jednotonne tchnienie
słyszeli, wzajem do się przytuleni.
Tej chwili Henryk z nad róży kielicha,
»*Verweile doch, du bist so schoen!...*« rzekł z cicha.

»*Verweile doch!...*« Poza nim cmentarz życia,
powiędłe myśli, albo wbite w błoto,

wszystko stracone i nic do zdobycia,
i serce próżną stargane tęsknotą...
Przed nim?... Z przyszłości ciemnego ukrycia
jutro twarz bladą śmiertelną martwotą
wychyla, widmo straszne i pokutne,
trwogę niosąc i jak trumna smutne.

»*Verweile doch!...*« Bo oto wczesna idzie
starość i nędza ciała, co trupieje;
starość, w swej całej grozie i ohydzie,
starość, co lodem przerażenia wieje,
starość, kąpana w fizycznym bezwstydzie,
wstrętna, okropna; starość, która leje
na nędzne ciało ludzkie kubeł kału
i robi zgniłe próchno z »ideału«.

Starość, co łamie, druzgoce i depce,
starość, co nurzy w szpetności po uszy,
starość, co żywą krew po kropli chłepce,
starość, co serce zabija, mózg suszy,
starość, co pierwsza nad dzieckiem w kolebce
staje i krokiem się odeń nie ruszy
i jak śmierć za niem bezustannie chodzi — —
wybrańcy bogów umierają młodzi.

»*Verweile doch!...*« Daremnie... Przeszła chwila,
przeszła i więcej nigdy nie powróci,
nigdy już więcej... Czuł, że się pochyla
w nim coś ku ziemi, zasępia i smuci.

Czar znikł, jak lotnych obłoków flotylla,
gdy je po morzu w nicość wiatr rozrzuci.
Zrozumiał, że w tej chwili do zenitu
doszło u niego uczucie dosytu.

Zrozumiał, że już więcej tu na ziemi
wydobyć nic już nie zdoła z użycia,
zanim go starość z szczękami trupiemi
chwyci, z ciemnego wypełzła ukrycia.
Tu, nad wodami siedząc błękitnemi,
swą najpiękniejszą miał godzinę życia,
pośród natury, jak cud, przy kobiecie,
jak wybujałe w słońcu polne kwiecie...

I wolnym ruchem wyjął z kamizelki
papierek, w którym nosił cyankali;
spojrzał — — na ręku miał zwitek niewielki — —
wzdrygnął się — — po tem już nic nie ocali — —
jednak czy warto żyć bez żądzy wszelkiej,
bez pragnień, złudzeń, nadziei?... W oddali
zobaczył nagle w parku, wśród topoli,
panią Irenę idącą powoli.

Pani Irena szła, a Henryk wstawał
nie będąc pewny, czy widzi na jawie,
czy też złudzenie go bierze na kawał
i ambetuje, jak mówią w Warszawie.
Ona! Tak, ona! Czyżby nie poznawał?!
Ta sama gibkość i smukłość w postawie,

te same ruchy, rysy... Święte bogi!
Irena! Ona!... Zerwał się na nogi.

Wraz z nim zerwała się z ławki Viola,
która dotychczas patrzała na morze.
Stanęła smukła, gibka jak topola,
a na twarz wyszły jej rumieńców róże —
zażenowała ją szatek swawola,
które wiatr lekko podnosił ku górze,
więc się ogarnia rączkami, pół dzika,
pół przestraszona patrząc na Henryka.

Pani Irena stała blada cała —
w jej oczach tysiąc zaświeciło błysków,
zda się, że nagle na głaz skamieniała
i była, jak statua z wodotrysków,
albo monument... List, który trzymała
w ręku, od palców kurczowych uścisków
zwinął się w biały, pomięty papilot —
a usta były jej, jak działa wylot,

dopóki lontu kanonier nie zniży...
Straszliwy otwór... Wtem krew jej na lice
buchnęła, o krok jeszcze przyszła bliżej
i na Henryka oczów błyskawice
zwracając, oczów, jak sierć kolczozwiérzy,
list odrzuciła precz na fal śnieżyce
i lady Makbet ruch z trzeciego aktu
czyniąc, przez zęby rzekła: To pan tak tu?!...

To, gdy ja myślę, że pan schnie z żałoby
i o mnie tylko myśli, za mną jęczy,
pan tu z dziewczyną włoską?!... Boże! Ktoby
pomyślał?!... To ja!... A pan tu się wdzięczy
do jakiejś Włoszki! Ja... Nie! To wartoby
w powieść... Ja myślę, że on tu się męczy,
że on tu kona od przeszło dwunastu
miesięcy — — a on tu... *non! ça surpasse tout!*

Ha! To zaiste godne pana, w taki
ubliżyć sposób bezbronnej kobiecie!
Poznaję pana — — zawsześ pan jednaki!
Nic się nie zmienia widać na tym świecie!
Poznałabym cię wszędzie — ach! te krzaki!
jeszcze się podrę gdzie! — postępujecie
zawsze jednako z nami — po tym kroku
pana poznałabym w największym tłoku!

Lecz teraz kwita z nami! Już na wieki!
Słyszysz pan? *C'est fini — fini à jamais!*
Je ne veux plus vous voir! Où suis-je? Chez qui?
W jakąż rozpusty straszną wpadłam jamę?!
Wyprowadź mnie pan ztąd! Ja bez opieki!
Mój mąż, ten bałw... to jest... Przez taką damę!
Przez taką... tak się dać skompromitować!
Non! C'est trop! Zaraz mnie pan ztąd wyprowadź!

Albo... ah! ah! ah!... — krzyknęła i padła
prosto ku Henrykowi — ledwo złapał —

Viola na to patrzała pobladła,
a deszcz jej cichych kropel z sukni kapał,
wreszcie spytała, czyby prześcieradła
nie przynieść, widząc że Henryk już sapał,
i położywszy tę signorę na niem,
zanieść ją do pokoju przed skonaniem?

Henryk powoli przytomniał — — na rękach
miał swoją dawną, kochaną, straconą,
dawną Irenkę o tych samych wdziękach,
które mu duszę czyniły szaloną;
włosy jej znowu rozsnuły się w pękach,
gdy przewiesiła w tył głowę zemdloną,
z pod gorsu piersi wyjrzały z ostrożna,
wstydliwie, jakby pytając, czy można?...

Na rękach czuł ją swych całą zwieszoną,
czuł ciepło ciała jej i jej oddechu,
przy piersi czuł jej falujące łono,
czuł krew tętniącą w jej żyłach w pośpiechu,
czuł swoją dawną, kochaną, straconą...
A ona zwolna, w smętnym półuśmiechu,
pół powiek wzniesie i pół ust rozchyli
zbladłych, podobnych pół rozwartej lilii —

i patrzy... Wszystko pierzchło mu z przed oczu,
cierpienia, męka, gniew i wszystko potem —
zanurzył palce w jej gęstym warkoczu,
co się pod słońca światło błyszczał złotem,

schylił twarz — — w oczu jej mglistem przezroczu
zadrgało światło — — nagle rąk mu splotem
objęła szyję — — i czoło im z czołem,
usta z ustami spoiły się społem...

Jak długo trwał ten czar — — któż takie chwile
liczy — — lecz nawet Henryk uczuł życie...
On, co przed chwilą chciał się skryć w mogile
przed nudą: tonął, jak chłopak, w zachwycie,
jak chłopak, gdy już poczuł się na sile
schwycić dziewczynę w pół w owsie, lub życie,
i w tył przegiąwszy nieledwie ku ziemi,
spoił jej usta z ustami swojemi.

O gdyby chwila pierwszego objęcia
mogła być wieczną!... Któż tego niepomni?
Te tajemnicze, te nieznane wgięcia,
te skryte czary kształtów... Któż zapomni?
Pierwsze zbliżenie ust do ust dziewczęcia,
co oszaleni i unieprzytomni?
Pierwsza płomienna rozkosz nocą późną...
Verweile doch! Du bist so schoen!«... Napróżno...

NA SZCZYCIE.

Wkoło złomy granitów dzikie i olbrzymie,
podemną gdzieś jeziora, a tam niżej, niżej,

świat, życie, nędza ludzka, tłumy nieszczęśliwych
i garstka panów świata — i tych zagrożonych
tysiącem niebezpieczeństw, cierpień, nędz i bólów!
Nad wszystkiem jest cierpienie... O! gdybym z tej
[góry
sięgnąwszy ręką, schwycić mógł kołowrót świata
i bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia,
jedna pieśń szczęścia w niebo runęła i gwiazdy
zdumiała, jakby nagle ziemia, czerwonemi
wybuchając ogniami, między nie wybiegła
szalona i podobna do racy puszczonej
między ciche łabędzie na spokojnej wodzie...
O pieśni! pieśni szczęścia! czyż nigdy nie zabrzmisz?
Czy nigdy tryumfalny twój głos się nie wmiesza
do cudownej melodyi wichrów, mórz i lasów?
Czy nigdy oczy ludzkie nie będą, jak kwiaty
uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy ludzkie piersi,
jak łąki, co oparem oddychają złotym
o świcie w dzień wiosenny? Nigdy ludzkie myśli
nie będą jak obłoki swobodnie płynące,
zanurzone w topieli błękitu i światła?
I nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce
promienna i gorąca, jednem tylko czuciem
przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?
Nigdy?... I wieczny, wieczny będzie rozdźwięk
[w świecie
między tem, co śni człowiek i tem, co snem nie jest?...
Tak! Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,

nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył!
Cóż, choć nam filozofia i poezya cały
bezmiar, całą głąb złego przed oczy postawi,
pokaże całą nędzę ludzkiego żywota,
całą niemoc człowieczej samoistnej woli,
całą jego zawisłość od Woli Tajemnej,
i wszystkich jego pragnień źródła i maszynę
wszystkich jego postępków, uczynków i myśli
na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze?
Czyż przez to ludzkość będzie szczęśliwszą? zło [mniejszem?...
Są, którzy ukochali ludzkość: czyż nie widzą,
że ta miłość jest niczem?... Najstraszliwsze z uczuć,
najstraszliwsze, najgorsze, najsroższe uczucie
niemocy woli ludzkiej, bezsilności ludzkiej
wobec Woli Tajemnej i Jej głuchej Siły!
Czem jest życie ludzkości? Od tysięcy wieków
patrzeniem wciąż w zwierciadło jedno i to samo
i ciekawem śledzeniem w tem jednem odbiciu
coraz nowych wyrazów bólu i rozpaczy.
O góry! o jeziora, które tutaj widać!
Jak jesteście szczęśliwe wy, co nie możecie
nic czuć, nic myśleć, nic chcieć!... Jesteście bezwładne
jak my, lecz bezwładności swojej nieświadome,
i to jest szczęście wasze!... O! Cóżbym dał za to,
gdybym mógł, jak wy, niemieć wiedzy mojej doli!
Wietrzeje granit szczytów, piorun go rozbija,
od lawin głazów zwolna znikają jeziora,
ale nie wiedzą o tem. Tak ziemia się cała

od swoich pierwopłodów, od praepok swoich
rozwija bezświadomie, naprzód ciągle dąży,
bez pamięci, co przeszło, bez troski, co będzie,
nie obarczona gorzkim ciężarem doświadczeń.
A my, bogaci przodków naszych doświadczeniem,
wiemy, że nas nie czeka nic, prócz tego tylko,
co było — i bogactwo to jest straszną nędzą,
jest Strachem, który pęta ramiona Odwadze.
Przed niedolą rozwagi, przed niedolą wiedzy,
dwie są tylko ucieczki: szał i wyobraźnia.
Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem,
gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie,
w nigdzie nieistniejące idealne światy,
gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.
Lecz jest to abdykacya ducha, który przecież
jest we mnie czemś najwyższem — zaprzeczenie Myśli,
najszlachetniejszej cząstce mojego istnienia — —
gdyby wznieść się tak Myślą, ażby ponad wszystkiem
zawisnąć, niedostępnym niczemu, co ziemskie...
Być czystą myślą... Przebóg! Co za widmo wstało
z czarnej czeluści skalnej?! Okiem jak sztyletem
przebija mnie i krew mi swym uśmiechem ścina,
swym okropnym uśmiechem!... Ktoś ty jest?!...
. . . .

Ironia...

. . . .
Znam cię, o znam cię, widmo! Ty z pierwszym pro-
[mieniem

słońca przychodzisz rano, w południowym dzwonie
ty dźwięczysz ponade mną, ty o zmroku we mgłach
wieczornych nad mą głową zawisasz w przestworze,
ty z nocnych cieniów i z gwiazd wychylasz się ku mnie,
znam cię!... Niegdyś alpejski ów samotnik, władca
duchów elementarnych, słyszał ponad sobą
rzuconą klątwę życia za zbrodnię spełnioną,
lecz jakaż moja zbrodnia? Jedna chyba tylko:
wątpienie... Tak zaiste, pierwszym fundamentem,
pierwszą podstawą dzieła: wiara w jego koniec.
Tylko kto ślepo wierzy, potrafi iść naprzód,
zwycięży, albo padnie, ale z raną w piersiach,
jak rycerz... Żyć, to tworzyć, a tworzyć, to wierzyć...
Nie wierzyć, wątpić: lepiej znicestwieć i przepaść!...
. . . .

Płynę cichy i świetlany
przez przestrzenie nieskończone,
przez wieczności oceany
w nadświatową płynę dal;
w gwiazd otchłanie, w mgieł oponę
patrzę jasnym, świetnym wzrokiem,
widzę światła, co potokiem
w bezmiar rwą się z pramgły fal...

Przy mnie ziemie się rodziły
ze słońc swoich pryskające;
widzę ciche ich mogiły,
jak szybują ścięte w lód

i padają znów na słońce:
giną, aby wstać z kolei,
wstają, aby w lat zawiei
zginąć, jak powstały wprzód...

Wieczny ruch, przemianę bytu,
wieczną śmierć i życie wieczne
widzę, płynąc wskróś błękitu
przez bezdenie pustych sfer;
bryły toczą się słoneczne
grzmiąc i hucząc na przestworza,
szumią lotnych mgławic morza,
brzmią miliardy świetlnych skier...

W ponadziemskich gędźb tych toni
płynę cichy, niewidzialny,
u stóp moich czas się kłoni
i z gwiazd gwiazdy tworzą się...
Gdzie wszechmocny, tryumfalny
ruch Istnienia koło toczy:
w sfer głębinie mknąc przeźroczej
cicho, słodko, bosko śnię...

. . . .

O dziwny głosie, jak gdyby w mej duszy
słyszany własnej, a razem w przestworze
płynący kędyś... Dziwny słodki śpiewie!
Świetlana struno przestrzennego światła!
Brzmisz tak nademną, jednak mi się zdaje,

jakobyś wespół brzmiał w mej własnej duszy...
Dusza człowieka! Czyli nie jest ona
częścią wszechduszy świata oderwaną
i w część zamkniętą wszechmateryi świata?
Lecz czemuż, czemuż, ah! czemuż tak bardzo,
tak strasznie więzom materyi podległą?!...
. . . .
Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
ojczyzno ducha! Wszystkiemu odjęty
w was on jest taki, jak wy, czysty, święty!
W was, kiedy skrzydła związane rozpęta,
tęcze z nich biją i płomienne łuny,
usta są jego, jak wichrowe struny,
oczy, jak gwiazdy, serce, jak kwiat z pola,
ramiona jego są jako pioruny,
jak oceanu przypływ — jego wola!
Wtenczas on stwarza Piękno, Dobro świata,
zło, wstręt, brzydotę skrzydłem jak pył zmiata,
leci, jak anioł pokoju po ziemi,
jak anioł szczęścia ku ludzkości zlata,
rany jej koi ustami własnemi,
własnego serca darzy ją pokojem,
krew jej oczyszcza własnej krwi swej zdrojem,
jest dla niej chlebem i różdżką oliwy...
I gdyby przez swą boleść i męczeństwo
mógł wieczne kupić jej błogosławieństwo,
wieczną szczęśliwość: umarłby szczęśliwy...
Lecz owa klątwa, co się ciałem zowie,
to pęto ducha, to upokorzenie,

budzi go ze snów, jak orła, co ranny
śnił, że ma słońca purpurę na głowie,
pod skrzydłem wichry, pod piersią bezdenie,
i gdzieś w błotnistym ocknął się parowie...
O wieczny ducha ból! ból nieustanny!
Napróżno! Niema mocy zwyciężenia,
niema zwycięztwa nad życia przemocą...
Napróżno!... Skrzydła co się tu szamocą,
do piersi łańcuch ziemski opierścienia.
Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
trójco mej duszy! Do ciebie ramiona
wznoszę bolesne... Otom jak w pustyni:
wiatr na pierś piasku mi rzuca brzemiona,
nogi me tuman rozżarzony pęta,
strach w kość mi wchodzi, w oczach noc się czyni...
Co jest przed światem? Co jest przed człowiekiem?
Co jest przed duchem?... Milczenie!... Milczenie!...
W uszach mych huczy rwący wiek za wiekiem...
Pędzą... Przelata cała ludzka fala,
przelata całe odwieczne Istnienie...
Jak się lawina głazów w przepaść zwala
z skalnego zrębu: tak wieki się toczą
z hukiem i grzmotem i giną w Bezdeni — —
a ponad ziemią niebo lśni przeźroczo
i słońce wiecznie jasno się płomieni...
Słowa, oh, słowa!... Słowa rozwiązania
zagadki bytu, cierpień tajemnicy!
Pociechy w chwili szału i konania!...
Chryste! Na górę wchodzisz mi olbrzymią!

Pod nią się morza kotłują i dymią,
wąż ją opasał światła błyskawicy...
Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
Włosy, jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz, jak lew grzywą?
Dlaczego usta twe pełne milczenia
gorszego, niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz?! Na górze z płomienia
dlaczego milczysz?... Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bóle wieczyste,
przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Światłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęków i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna Kolumno wśród wieków i bytów!...
Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom Twej Miłości
jest czemś nadludzkiem tak i niepojętem,
że co być miało żywotem ludzkości,
staje się trwogą, otchłanią i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekieł upada płomienie,
a Ty jej nikniesz i odchodzisz z oczu,
i gdzieś w błękitnem, dalekiem przeźroczu
postać się Twoja ukazuje blada
i niedościgła rośnie w Przerażenie...
Chryste!...

. . . .

O! Matko! Naturo! Wszechwierna,

wszędy obecna, wszechmocna, niezmierna,
Naturo, Matko, co szumiącem drzewem
duszę unosisz z błękitów powiewem;
co rzeczną falą niesiesz ją w bezdenie
za rubież ziemi i za gwiazd świecenie;
co wierchem górskim dźwigasz ją w bezmiary,
zkąd widać obrót kołowrotu świata;
której szum głuchy podziemnej pieczary
woła w praczasie przeminione lata
i zmartwychwstawać im przed oczy każe;
Naturo! Matko! co Bogu ołtarze
stawiasz na górach, pustyniach i morzach,
kurzem wulkanów śląc kadzidła mszalne,
grzmotami Boga sławiąc na przestworzach:
do ciebie ręce wyciągam błagalne!
Naturo! Matko! Oto w twojem łonie
wszechwiernem istność niech moja zatonie;
w twojej potędze, pod twoim ogromem,
niech się ma dusza uczuje atomem,
cząstką tych szumów, które w drzewach szumią,
cząstką tej fali, która w rzece płynie,
cząstką tych głosów, co się w grotach tłumią,
cząstką gry słońca na górskiej dolinie...
Naturo! Matko! Tak pragnę dla ducha
tej świętej chwili, gdy czysty i szczytny,
jak orzeł, co się wzniesie w sklep błękitny,
gdy po nim huczy burzy zawierucha:
wydarty burzom, w które krew go ciska,
wzniesie się w czystej myśli uroczyska,

na Cisz zawrotnych wwiedziony krawędzie,
tylko twą piękność czuć i widzieć będzie,
tylko pięknością twoją żyć się zgodzi,
podobny dumnej i spokojnej łodzi,
co przewalczywszy wiry i orkany,
żaglem na toni błyszczy zwierciadlanej.
Wówczas niech biali przyjdą aniołowie
rozmawiać z duszą; wówczas im odpowie
nie jękiem bólu, nie klątwą, nie krzykiem,
ale odpowie im cichym spokojem
wód, co się w lesie kołyszą, językiem,
mową drzew górskich pod mgławic zawojem.
Chcę lecieć wolny, jak światło w błękicie,
chcę duszę rozbić na bezkresną przestrzeń,
chcę być, jak cisza na łąk pierwobycie...
O duszo! Wzbij się! Skrzydła twe rozprzestrzeń!
Wzbijaj się! Wyżej!... Pękajcie więzadła
ramion i skrzydeł! Lecz wpierw tam, z zenitu,
raz, jak Bóg spojrzyj na otchłanie bytu,
a jeśli runiesz, toś z pod nieba spadła!...

CYT... TO GRA ŚMIERĆ...

Cyt... to gra Śmierć...

Wstrzymajmy rękę... wstrzymajmy krok...
Cyt! to gra śmierć... Przez blady mrok

płynie muzyka z dali, z dali...
Wstrzymajmy oddech, wszelki ruch,
abyśmy nic nie postradali
z tej pieśni, co nam koi słuch;
abyśmy nic nie uronili
z tej pieśni, co nam serce leczy;
abyśmy w jednej krótkiej chwili
odczuli byt pozaczłowieczy...

Nie będzie długo grać...

W przelotne, wietrzne mgły się wcieli,
zniknie jak obłok, jako cień — —
pomnimy, żeśmy mieli dzień,
gdyśmy grającą Śmierć słyszeli — —
pomnimy taki dzień...

Cyt — — to gra Śmierć... To jest gra dla tych bytów,
które się kruszą już i walić mają w rum...
Głęboki, cichy dźwięk przepastnych stalaktytów,
odległych źródeł gra... Jest to lasowych dum
wieczny, falisty szum, cudowny i spokojny...

O Śmierci! pierwszy raz, pierwszy raz w życiu słyszę
dostojny taki ton, instrument taki strojny...
O Śmierci! grajże, graj! wypełnij to zacisze
muzyką skrzypców twych, harmonią twej muzyki,
niech pod konarów strop podnosi się twój śpiew,
niech — jako tęcze lśnią u okien bazyliki —
fale muzyki twej lśnią wśród konarów drzew...

GWIAZDY.

I.

Syryuszu! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
gdy ziemia była wiosenną i młodą
i lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
pod niebem wiecznie w bezmiar rozzłoconem:

czy nie błądziły w uroczysku onem,
nad oceanów nieprzejrzaną wodą,
wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
będące ciszą i światem wcielonem?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie,
oceanową zadumane głuszą,
po wirze przemian, co się nieskończenie

rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
błękitem nieba zadumaną duszą?...

II.

I oto pyłem w ten bezmiar rzuceni
patrzymy w górę — wieczny symbol wzroku —
mijając szybko, jak fale w potoku,
który trwa wiecznie wśród jednych kamieni.

Każdy z nas, w ziemskiej zamknięty przestrzeni,
symbolem tylko jest w bezkreśnym toku

ludzkiego życia; giniemy z widoku
bez śladu, na kształt bezistotnych cieni.

Wy tylko, gwiazdy, wy tylko zliczycie
te warstwy bytów, co przez lat otchłanie
trwały i nikły, aby nam dać życie —

i nas znów w wiecznej poznacie przemianie,
bo jeden tylko jest gorzki cel w bycie:
ażeby miał swe wiekuiste trwanie.

III.

Syryuszu! Cudzie gwiazd! Gdy patrzę w ciebie,
w twój wieczny spokój, w tę ciszę nadbytu,
w niezmierną oddal twojego błękitu,
w twe wiekuiste istnienie na niebie:

dusza się moja smutna wraca w siebie,
i ból się rodzi z mojego zachwytu —
i dusza, pełna bolesnego zgrzytu,
opada z nieba i w prochu się grzebie.

Twe cudne światło, zimne, jak blask stali,
niezmienne, jasne, głuche, świeci w górze
twarde, jak dyament... Niech się świat zawali,

wasze, o gwiazdy, nie zadrgną podróże —
jesteśmy łódką na szalonej fali,
bo niema żadnej miłości w naturze.

LEGENDA.

I znów tak samo słońce wejdzie gdzieś tam
[w świecie,
na wielkich cichych górach zimny lód zapali,
znów obłokami wicher śnieg z upłazów zmiecie
i wiosna zajaśnieje na błękitnej fali,
znowu się będą maić winnice i drzewa,
znowu się dookoła zazieleni pole — —
idzie wiosna różanousta, złotobrewa,
z żółtym jaskrem i habrem niebieskim na czole.

I znów tam będzie owa ranna, jasna cisza,
mącona tylko gwarem rozpędzonej rzeki,
i skryta, upleciona z świeżych wiklin nisza,
podobna do alkowy nimfy w czasie spieki.
I znowu się na liściach przejrzyste i złote
błyszczeć będą owady i motyl zaleci
w tę skrytą pośród wiklin ponadrzeczną grotę
i wkradnie się wraz z słońcem przez zielone sieci.
I znów będzie tak samo, jak niegdyś przed laty,
dawno, lub może wczoraj... Któż ten czas przeliczy?
W każdym razie już całe padły wpoprzek światy,
została tylko pamięć szczęścia — i goryczy...

Kiedy? Kiedy to było?... Nie pytać bez celu —
było kiedyś... Zostało wieczystą legendą...
Było kiedyś, daleko i przed laty wielu — —
może wczoraj... Legendę chwile tęsknot przędą...

Legendę urodziło to drzewo nad rzeką,
pod którem się łączyły serca, dusze, dłonie..
Ono stoi — — tam kędyś daleko, daleko,
stoi i w wodę patrzy, a kiedy liść zrzuci,
to ten liść tak, jak przeszłość, opada i tonie
i tak, jak przeszłość, nigdy więcej nie powróci.

Legendę urodziły te wikliny rzeczne,
co słyszały słów tyle, tyle łez widziały,
i przepuszczały przez się promienie słoneczne
na łzami zaciemnione jej oczu kryształy...

Legendę urodziły te ścieżki, co biegły
między gąszcze i krzewy ku rzece ze wzgórza,
i widok na dolinę jasny i rozległy
i deszcze z wiosną płynne i gradowa burza...

I czy to było wczoraj, czy było przed laty,
oni sami niewiedzą; któż ten czas przeliczy?
W każdym razie upadły wpoprzek całe światy,
została tylko pamięć szczęścia i goryczy.
I została legenda cicha, rzewna, święta,
w głębi duszy noszona, przez słowa nietknięta,
nieznana, prócz nich dwojga na świecie nikomu;
została pamięć czaru dziewiczego sromu,
co się jak kwiat do słońca miłości otwierał,
jak kwiat, który nie uwiądł w żarze, choć umierał...

Kiedy, kiedy to było?... Nie pytać bez celu — —
było kiedyś: zostało wieczystą legendą.

Kiedyś, kiedyś, po latach, po wypadkach wielu,
może się zejdą z sobą, może mówić będą.
Nie przypomną przeszłości, lecz pod każdem słowem
ona drgać będzie skryta, jak łza pod powieką,
i serca zadrgną biciem tak dawnem, a nowem,
i obejrzą się w przeszłość, daleko, daleko...

Czyste, jak łzy, padały z skarbca dyamenty
i brukowały sobą ulicę podróżną;
świecą, ale je podjąć chcieć napowrót — próżno;
został tylko szlak długi, najdroższy i święty.
Jakiejż nie mają wagi, gdy ze skarbca lecą?!
A raz padłe: na zawsze tylko jak łzy świecą...

Legenda pełna szczęścia, żalu i cierpienia,
prócz nich dwojga, nieznana nikomu na ziemi.
Tam nad rzeką, pomiędzy ciche drzew podcienia,
powoli, z ramionami na pierś złożonemi,
przewiał ponad pamięcią archanioł milczenia.

NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskiem Jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
pode mną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna bezdenna woda wiatrem kołysana
dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
a ponade mną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuję: głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestemż?! Czylim w otchłanie wpłynął własnej duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone głuszy...

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — — patrzę się w podziwie...
Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi!

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy
duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
wielka... jak świat: tajemna... jak las o północy.

Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
w który lękam się wstąpić — — zginę tam, przepadnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bez-
[władne...
Milcz na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać, ciebie,
o duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzejrzana,
mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

NA WIOSNĘ.

Niegdyś, kiedy się wiosna zalśniła w przeźroczu,
marzyły mi się bóstwa żywiołów ocknięte,
lasów bogi szumiące i przejasne święte
nimfy, rodzące kwiaty spojrzeniem swych oczu.

Zdało mi się, że stojąc kędyś na uboczu,
jak malarz z poza wiklin w wodzie rozpierzchnięte
podpatruje dziewczyny, ich nagą ponętę,
błękit ciała wśród fali i rosę w warkoczu:

tak ja patrzę na nagie młode bóstwa wiosny,
utrwalając ich obraz cudowny we wzroku,
ich promienną urodę i pląs ich miłosny.

Już wiosna schodzi jasna z białego obłoku,
lecz moja — przeszła — i dziś na ową świetlistą
patrząc, widzę ironię bytu wiekuistą...

KRÓLEWNY.

Nad jurajskiemi góry, na błękitnym pasie,
zawisa kłąb obłoków biały, lekki, zwiewny;
z Rodanu wiatr powstaje łabędzi i śpiewny
i, jak ręka kobieca po lśniącym atłasie,

suwa się po błyszczących błoniach łąk i zda się
leci w jakiś bajeczny kraj, w którym królewny
we młynach mieląc, nucą, a inne w pastewny
poszły ogród — tam stado spokojnie się pasie.

W taki to dzień Nauzyka, królewska dziewczyna,
uśmiechnięta jechała prać płótno nad rzeką,
a potem je do słońca jasnego wysusza;

w taki to dzień, czy sobie przedświat przypomina,
czy zaświatów przeczucie zamglone ma dusza — —
jest jakiś kraj bajeczny... daleko... daleko...

BAJECZNY KRAJ.

Jest jakiś kraj bajeczny, jakieś ciche święto,
jakieś niedzielne rano słoneczne, świetlane,
kiedy po pustych polach, w złote mgły odziane,
włóczą się Słonecznice z piersią odsłoniętą.

Widzisz je? Idą polem twem, pachnącem miętą,
pachnącem młodą trawą, wysmukłe, rumiane —
idą jasne Kwietnice, Śpiewnice źródlane,
idą — przez grabie w trawę rzucone pożętą.

Idą przez młody owies, a za niemi bogi
wierzbowych łóz, złośliwe snują się i psotne,
a kędyś po cmentarzach chodzą Osmętnice,

i na grób młodych dziewcząt siadają samotne —
a mnie się obróciły tam, ku nam, źrenice,
tam ku naszym zagonom, na nasze rozłogi..

TĘSKNICA.

Widzisz? Idą dziewczyny w to majowe rano
z kościoła, w krasnych chustkach, w koralów
[czerwieni;
idą, włos się im płowy jak len, w słońcu mieni,
i cieszą słońce twarzą jasną i rumianą.

Idą długim szeregiem przez miedzę żytnianą:
wszystko się w koło złoci, świeci i promieni;
jaskółki zawisają na nieba przestrzeni
i obryzgują piersi białą rzeczną pianą.

Tam, u nas tak w niedzielę, w majowy poranek
idą dziewki z kościoła, z kwiatów wianki plotą,
ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek —

zda się, Bóg w jasnem niebie twarz pokaże złotą;
i taka mi się marzy polska okolica
i na sercu mi kładzie ciężką dłoń Tęsknica...

SATYR.

Prawda? Kiedy nam serce uczucie rozpiera
i z duszy uniesienie namiętne wybucha:
nagle widzim gdzieś z boku szpetną twarz satyra,
który oczy przymruża, patrzy w nas i słucha.

Drwi — a my zawstydzeni milkniem — i przepada
chwila ekstazy duszy, albo szału serca;
z iluż skarbów nas samych i ludzkość okrada
ten wiecznie czuwający nad nami szyderca!

PARODYA ŻYCIA.

Żyjemy często, jako te smutne jelenie
urodzone i w puszczy wyrosłe za młodu,
które — stworzone wielkie przebiegać przestrzenie —
zamknięto do zwierzyńca, w trzy morgi ogrodu.

Mogą w biegu korzystać z sił swoich zapasu,
mają drzewa i wodę w potoku do picia,
żyją całkiem jak w puszczy — na trzech morgach lasu — —
i zabija je smutek tej parodyi życia.

LWY.

W menażeryi lwy były, lwy płowe, ogromne,
grzywy jak wicher miały, oczy jak pioruny,
każdy krok był jak postrach jawiącej się łuny,
a od niewoli były napół nieprzytomne.

Godzinami leżące bez ruchu, snadź biegły
w swe olbrzymie pustynie, nad swe wielkie rzeki,
wspominały swe piaski płomienne od spieki
i widnokrąg błękitu bezmiernie rozległy.

Wspominały te noce, gdy księżyc czerwony
jak krew, świecił na niebie; gdy powietrze parne
zdało się od błyskawic i gromów ciężarne,
a ich ryki huczały w przestrzeni, jak dzwony.

Wspominały świtania pełne świeżej rosy,
kiedy po nocnych łowach rzucały się w trawę
od walk całe dyszące, rozżarte i krwawe,
i zlizywały wolno z łap swe straszne ciosy.

Co dnia pogromca wchodził do klatki dwa razy
przy grzmocie bębnów, pisku muzyki i brzęku;
obręcz z płonącą smołą i bat trzymał w ręku —
na grzbiet lwów poczynały, jak deszcz, padać razy.

Przez podstawioną obręcz, opalając grzywy,
bite, szalone z bólu, ogłuszone wrzawą,
ciskający iskrami taniec swój straszliwy
przed gawiedzi nikczemną odprawiały ławą...

O lwy!...

SZALONY FAUN.

Szalony wybiegł w pole Faun,
gdzie Nimfy wiodły skoczny tan,
barwisty zerwał z głowy wian
i cisnął, aż się rozsuł w strzęp

kwiat wytargany z wodnych kęp.
A z pod skrzydlatych, białych stóp,
złotego pyłu wznosząc słup,
o ciałach z świeżą wonią bzów,
Nimf smukłoudych krzyczał huf:
»Szalony Faun! Szalony Faun!«
I tysiąc kwiatów z szybkich rąk
padło na bożka, który stał
bronzowy wśród różowych ciał,
jak rudy szczaw wśród lilij z łąk.
»Pójdź! — tak krzyczały. — Boski szał
z pachnących naszych bije ciał!
Niech żyje bóg, co winnych gron
jasny nam w usta wciska plon!
Niech żyje Pan, którego flet
pasterza śniady widzi grzbiet,
a gdy ucieka, głośny śmiech
bożka go ściga grzmotem ech,
że aż zgubiwszy ser i bat,
ledwo zagrody dopadł rad!
Niech żyje Kipris z piany wód
zrodzona, co nam nocny chłód
pomaga znieść, gdy Satyr nas
skrycie uniesie w ciemny las
i na posłaniu z traw i mchu
ogrzewa ogniem swego tchu!
Niech żyje Kipris! Evoe!
Pójdź z nami! Zefir w róg swój dmie!
Rozkoszny powiew muska nas!

Pójdź z nami! Tańczy cały las!
Niebo zatacza wkoło pląs!
Patrz! Sum się z rzeki podniósł, wąs
najeżył, jak myśliwski grot
i w tan się w rzece puścił w lot!
Patrz, jaka piana, jaki szum!
Evoe! W rzece tańczy sum!
Hu ha! Już ptaki biją nam
do taktu w skrzydła, pryska szlam!
Dzikich cyranek lotny sznur
spadł na brzeg rzeki z rannych chmur!
Hu ha! Pójdź z nami, w wian się wwij!
Ty kochasz białość naszych szyj,
ty kochasz piękność naszych nóg!
Nimfy i taniec stworzył bóg!...«
I jak skrzydlatych stado mew
z głośnym trzepotem, z szumem piór,
leci ku niemu biały chór,
a jemu w oczach błysnął gniew
i krzyknął, tupiąc nogą: »Precz!
Dłoń moja ostra jest jak miecz!
Precz, ty gromado nagich ciał!
Dość długo już wasz okrzyk brzmiał:
Szalony Faun! Szalony Faun!
Precz!...« Nimfy pierzchły... Został sam
i cisza zwolna zeszła nań
wśród westchnień wichru, wody łkań
i szumu kwiatów... Kędyś tam
daleko, u śródmorskich skał,

śpiew Syren czarodziejskich brzmiał...
Szalony Faunie! Bożku z grót!
Ścigaczu smukłokształtych ud!
Czy łzy w twych oczach? Czy to z wód
dalekich krople miecie wiew
chłodnego wiatru? Czy to śpiew
dalekich Syren wzruszył cię?...
On zaś ku niebu modlił się:
»O jasnoczoła, Pani ros,
któremi błyszczy leśny wrzos,
Pani tych świateł, co się szklą
na fali pod poranną mgłą;
Pani tych barw, któremi lśni
morze wpływając w nocny cień,
Pani błękitnych, cichych dni,
Pani błękitnych nieba drgnień,
najczystsza z czystych, z woni róż,
z liljowych blasków, które wzgórz
szczyty w zachodu stroją czas,
zrodzona; ty, coś przeszła raz
przez świat ten, by zostawić mu
tęsknotę nadziemskiego snu:
ciebie chcę kochać!... Dzień i noc
szukając cię, przebiegłem świat —
ani mię trud nie zdołał zmóc,
ani mię z drogi cofnął strach,
ale twej białej stopy ślad
widziałem tylko w moich snach...
Szalony Faun! Szalony Faun!

Z lasów, z grót, z gajów ściga mnie
namiętny pokrzyk leśnych dziew,
lecz gdy ulegnę czarom tym,
piekielny mnie ogarnia gniew
i odtrącając rozkosz wstecz,
znowu za śladem idę twym
i szukam cię... i gonię cię,
a ty uchodzisz dalej, precz,
i znam cię tylko w moim śnie...
A jednak jesteś! Imię twe
jest pośród imion, jako kwiat:
i bóg i człowiek, gdy cię zwie,
duszą w odmienny wchodzi świat
i w oczy jasność spływa mu,
jakby melodyi słuchał tej,
co gdzieś z gwiazd ciszy, z mgławic snu,
z dróg mlecznych brzmi dalekich zwiej...
Więc jesteś, Psyche! Jesteś! W czas
zachodu, z lilijowych gaz
na szczytach wzgórz zrodzona; ty,
coś przyszła raz dać ziemi sny...
Jesteś! Czy próżno szukam cię?
Czy próżno tęsknię? Próżno wzrok
wytężam, czy nie ujrzę gdzie
twej twarzy przez obłoków mrok?
Próżno cię szukam, próżno chcę,
w twojej źrenicy patrząc świt,
grążyć się w lat tysięcy toń?
Próżno chcę czaru twego myt

wkuć w życia kształt i przywrzeć doń?
Uchodzisz! Czasem zda się już,
że widzę szaty twojej rąb...
Naówczas pędzę w światów głąb
i widzę — morza, co się z mórz
rodzą i góry weszłe z gór,
i widzę chmury płynne z chmur,
ale ty uszłaś... Przecież wiem!
Nie jesteś złudą! Gdybym mógł
raz ujrzeć ciebie, twoim tchem
odetchnąć i u twoich nóg
modlić się, jak do gwiazd, do słońc!
Od wszystkich ziemskich wolny żądz,
jak jasne światło ciebie czcić!...
Lecz ty się lękasz... Leśny bóg,
ścigacz Nimf nagich, zwykły pić
rozkosz z ich ciał, jak wino z czar,
przeraża cię... Ty nie znasz, nie,
tych nocy, gdym z tęsknoty marł
nad ciemnym morzem śledząc cię...
Ty nie wiesz, jakem błądząc w zmrok,
przed krzewem róż wstrzymywał krok
i oddech tłumiąc, ciebie z róż
wschodzącej czekał... Nie znasz dni,
gdym cię z słonecznych marzył zórz
ku piersiom spływającą mi ..
I wyciągałem ręce w dal — —
szumiały morza, kwitnął krzew,
świecił się złoty słońca krąg,

a z moich wyciągniętych rąk
zbiegała w serce gorzka krew
gorzką tęsknotę tlić i żal...
Nigdy więc, nigdy?... Próżny sen
i próżnom przebiegł cały świat?
Z niebieskich sfer, ni z morskich den
nie wyjdziesz?... Niech więc która z strzał
Zeusowych runie, mnie na szmat
i sen mój i mój ból i szał
roztargać!...« I czy z nieba cud?!
Patrz! z krętej wełny, z koźlich nóg,
z kształtu, co wlewał żądzę w krew
śródmorskich Syren, leśnych dziew:
jasny się wypromienia bóg...
Już boski uśmiech mu się wplótł
w wargi, już wzrok światłością lśni,
już niewidzialnych jęła drżeć
u jego ramion skrzydeł sieć,
już tętno jego wrzącej krwi
stroi się rytmem, pieśnią z ech
muzyki sfer... Już wszelki brud
i wszelki z niego opadł grzech...
W bóstwo go dziwny zamienia cud...
On bóg!... Do dumnych nieba wrót
wznosi się piersią, ręce wzniósł
i patrzy zachwycony w świat...
Dawny świat wkoło runął w gruz,
nowy rozwija się, jak kwiat...
To nowe życie... W przestwór zórz

jasną Pieśń Chwały rozwiał Czas;
nieziemskich, niepojętych kras
strój objął ziemię... Z poza wzgórz
z błękitu dzianych i ze mgły,
na łąkę z światła: spływa huf
nieziemskich, niepojętych dusz —
pół-ciał, pół-blasków i pół-snów...
Wiatr rozwiał w niwecz koźlą sierć,
szalony Faun oczyma lśni
jak bóg... A wtem nań spadła śmierć.

BALLADA O JANOSIKU I SZALAMONÓWNIE JADWIDZE.

Szedł Janosik przez Spiż, przez równinę,
w starym zamku ujrzał kasztelankę,
hej! kasztelankę białą...

Miała usta krasne, jak malinę,
miała złotem wyszytą katankę,
hej! złotem szytą całą...

— Kasztelanko — Janosik jej mówi —
jakoż ci jest na imię rodzone?
hej! jakież imię twoje?

abym temu powiedział orłowi,
kiedy pójdę w oddaloną stronę,
kiedy pójdę na boje:

leć-że pozdrów tę pannę w kastelu,
pannę, co ma usta, jak malinę,
złotem szytą katankę;

abym wspomniał — przy nieprzyjacielu —
stary zamek i spiską równinę
i ciebie, kasztelankę...

— Jadwiga mi na imię, na chrzestne,
grafa jestem córką Szalamona,
co na Koszycach włada —

powiedz ty mi swoje miano czestne,
i jaka cię urodziła strona?
i kto ci za sąsiada?

Czyś ty może książę Esterhazy,
Komorowski graf, albo niemiecki
rajchsfrajher od Dunaju?

— Kasztelanko — bez twojej obrazy —
jestem hetman, Janosik, zbójecki,
ze słowiańskiego kraju.

— Biada! biada! moje lata młode!
me bogactwa i kosztowne stroje!
czy mnie idziesz mordować?

— W twoją ja się zapatrzył urodę,
w malinowe jasne usta twoje —
jabym je rad całować...

— Jakoż możesz, zbójecki hetmanie,
chłopski synu z chłopskiego plemienia,
grafowskiej jąć się córy?

— Hej grabianko! gdzie ma noga stanie,
tam pękają węgły i sklepienia
i tam się trzęsą mury!

A gdybym cię, kasztelanko biała,
kasztelanko o złotym warkoczu,
dostał do rąk, do moich:

tobym iskry krzesał z twego ciała,
tobym iskry krzesał z twoich oczu,
z ust malinowych twoich!

A gdybym cię, kasztelanko biała,
kasztelanko o modrej źrenicy,
wziął na ręce, na moje:

tobyś ze mną, jak wicher leciała,
a pytałabyś się błyskawicy,
gdzie lecimy we troje?

A gdybym ci, kasztelanko biała,
córko pana grafa Szalamona,
plecy objął i ścisnął:

hej! tobyś ty zamku zapomniała,
zapomniała, gdzie matka rodzona,
wianekby ci owisnął...

— A gdybym ci, zbójecki hetmanie,
a gdybym ci od twego uścisku,
a gdybym ci umarła?...

— Są po Tatrach głębokie otchłanie,
szedłbym na wierch stanąć na urwisku,
śmierci skoczyć do garła...

W świegotliwy ranek idę sobie w pole!
hej! popod las!
córka pana grafa Szalamona...
Ma przy kapeluszu pióreczko sokole,
hej! kuty pas
ma mój kochanek
i jako wiatr ramiona...

W świegotliwy ranek ptaszkowie śpiewają,
hej! popod bór,
na zielonych siedzący konarach...
Memu kochankowi muzykowie grają
od gór, do gór,
przez Węgry, Polskę,
a stal drży na huzarach...

W świegotliwy ranek idę sobie w pole!
hej! popod las!
córka pana grafa Szalamona...

Od książąt od grafów Janosika wolę...
hej! złoty pas
odpiął ci mi z piersi,
wziął, jako wiatr, w ramiona...

A gdzieżeś ty, gdzieżeś, śliczna panno moja,
hej! gdzieżeś ty?
Bije serce moje, aż mi dźwięczy zbroja,
serce mi drży...

Patrzę z wierchu góry, patrzę w dół po ziemi,
hej! patrzę tam,
gdzie ty chodzisz, panno z włosami złotemi,
u kutych bram...

Odpiąłem ci złoty pasek u stanika
hej! w noc, jak grób...
Grała ci nam, grała wiatrowa muzyka
na ten nasz ślub...

Grała ci nam, grała, aż jęczało lasem,
aż jęczał bór...
bije moje serce pod szerokim pasem
od gór do gór...

Jasny Boże! Co się oto stało?!
Wleką pannę za włosy, za złote,
przez zamkowe podwórze...

Siedmiu ludzi noc całą kopało,
wykopało na podworcu grotę,
hej! przy zamkowym murze.

Wykopali grotę ciemną, czarną,
odwalili ziemię w okopisko,
łopaty dzierżą w dłoni.

Hej — nocą się świat pokrywa parną,
w Tatrach biją gdzieś pioruny blizko,
błyskawica się płoni.

Huczy burza w Tatrach gdzieś daleko,
błyskawice na niebie czerwone,
widno Garłuch czerwony...

Hajdukowie coś ciężkiego wleką,
wleką ciało dziewczyny zemdlone
przez zamkowe gazony...

Sam pan idzie w zarzuconej burce,
sam graf idzie za hajduków rzeszą —
na pierś zwisła mu broda —

idzie pogrzeb sprawiać swojej córce — —
niech się prędzej, niech się prędzej śpieszą...
Nie szkodaż jej?... nie szkoda?...

Panie grafie! cóż winna dziewczyna?
Ciało miała gorejące, młode,
krew w człowieku nie woda — —

krwi gorącej stała się przyczyna,
zachwyciła uroda urodę...
nie szkodaż jej?... nie szkoda?...

Panie grafie, ulituj się córce!
siwa broda na pierś ci opada,
i tyś także młody był...

Przez zamkowe ją wleką podwórce — —
ulituj się, panie grafie! biada!
wszak ci twoich to krew żył!...

Jakoż będziesz chadzał przez podwórze,
w wieczór, albo w świegotliwy ranek,
kiedy ptaki dźwięczą nam:

gdy tam córka przy zamkowym murze
pochowana za żywa za wianek...
jakoż będziesz chadzał sam?...

Z grobu swego wołać będzie na cię,
z grobu swego głos pośle ku tobie,
nie skryjesz się za ściany,

będzie wołać: ojcze! ojcze kacie!...
będziesz chodził o północnej dobie
strachem cały pijany...

Prędzej, prędzej! rzućcie ją do dołu!
Sypcie na dół ziemię z okopiska!
Niechaj zginie bez śladu!...

Panie grafie! tam z burzą pospołu
cóż to idzie, w miesiącu połyska?
czy to chmura od gradu?

Hej! co w bramę zamkową uderza,
jakby niebo uderzyło grzmotem?
Panie grafie! Nie daj Bóg!

Czy nie idzie to hufiec żołnierza?
Kutej bramy nie szturmuje młotem?
Czy nie idzie jaki wróg?!

Panie grafie, jeden tylko wpada,
jeden człowiek, jak góra potężny!
Z bramy wióry się kurzą!

Boże ratuj! To Janosik!... Biada!
To zbójecki jest hetman orężny...
Zleciał od Tatrów z burzą.

Późno, późno, zbójecki hetmanie!...
Córka pana grafa Szalamona,
twoja miła kochanka:

już ci więcej z ziemi nie powstanie...
tam, pod nogą twoją w ziemi kona...
bez wianeczka... bez wianka...

Późno... późno... zbójecki hetmanie!...
Wykopałeś trupa między trupy...
córka grafa nieżywa...

Hej! Runęło zamku rusztowanie,
jako z chrustu kruszyły się słupy — —
noc to była straszliwa...

Przeszła burza nad spiską równiną,
w świegotliwy ranek słońce wstało
na zamkowym kurhanie — —

hej! siedziałeś nad martwą dziewczyną,
hej! tuliłeś kasztelankę białą,
hej! zbójecki hetmanie...

Chwycił ci ją na ramiona — niesie w pola, w bór,
niesie, niesie — twarz ma straszną, jak powietrzny mór;
zaniósł ci ją do Doliny Staroleśnej het,
wyspinał się z nią do wierchu — na sam skalny grzbiet.

Stoją szczyty Staroleśne, nad otchłanią śpią:
na przełączce między niemi tam położył ją —
tam położył drogie ciało, białe ciało jej,
a z oczu mu łzy kapały — — grube, słone łzy...

Dwa dni leżał przy jej ciele na całunie z chust,
dwa dni od jej zimnych piersi nie odimał ust,
dnia trzeciego od jej ciała, od kochanki wstał,
i rękoma począł kruszyć złomy litych skał.

Nad jej ciałem wybudował granitowy dom,
z litych głazów go ułożył, kładł na złomie złom,
z litych głazów wybudował granitowy grób,
której odpiął złoty pasek na serdeczny ślub.

I uklęknął przy grobowcu i modlił się tak:
Jadwisieńko moja miła, nieszczęsnyż ja ptak!
Ptak nieszczęsny, co przyleciał od wysokich gór,
na dolinę spadł, na spiską, jak powietrzny mór.

Śmierć ci przyniósł, śmierć młodziutkiej, śmierć [kochance — ach!...
Teraz — hetman ja zbójecki — cały stoję w łzach,
teraz — hetman ja zbójecki — płaczę na twój grób,
na te lite, twarde głazy, na serdeczny ślub...

Jadwisieńko! Wstań mi z grobu! Z grobu twego wstań!...
Popod niebo jękła echem Staroleśna grań,
popod niebo siwe Tatry jękły w mrocznej mgle
i w urwiskach jęcząc echo roztraciło się...

Padł Janosik czołem na głaz i dobę tak trwał.
Wicher leciał z głębi dolin, koło niego wiał,
przesuwały się obłoki ponad głową mu,
a on leżał przy kochance bez duszy, bez tchu...

Het, w wyżynie napowietrznej, niedaleko gwiazd,
zapamiętał się Janosik, pogromiciel miast,

zapamiętał się Janosik, aż z wierzchołka gór
zeszedł z gniewem na Madziarów, jak powietrzny mór.

LEGENDA O JANOSIKOWEJ ŚMIERCI.

Hej w stołecznem mieście Mikułaszu,
wśród prastarych wiekuistych borów,
pod Dziumbirem, pod górą wysoką:
na ratuszu radzą ziemscy pani,
pani ziemscy liptowscy i spizcy
i orawscy hrabiowie bogaci.

Hej, nad czemże oni radzą Boże?
Na śmierć radzą, na śmierć Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
zbójeckiego hetmana, mój Boże,
co jest ludu słowackiego zdrowie,
możnych łupi, a ubogim dawa,
woły nędznym kupuje wieśniakom,
sukno mierzy od buka do buka,
a nikogo nigdy nie zabije.

Pod Dziumbirem w puszczy jodła rosła,
nad wszystkie się śmigłem czołem niosła,
ze szklannego piła wodę źródła.
Mówiły jej jodły dookoła:
co tak kwitniesz ponad nasze czoła?

coś się w górę ponad las wyniosła?
A na to im odszumiała jodła:
niedługo mnie wodę pić ze zródła,
nie będę ja długo nad was kwietną...

Widzieli mnie liptowscy panowie,
wybrali mnie liptowscy mistrzowie.

Żupanowie siedli na stolicę.

Siekierami-ci mnie drwale zetną,
ukrzesają ze mnie szubienicę.

Szumnie radzą liptowscy panowie
w Mikułaszu, w mieście, na stolicy,
śród prastarych, wiekuistych borów,
jakoby im dostać Janosika.
Janosika, dobrego zbójnika,
co jest ludu słowackiego zdrowie.

Radzą pani, rozmaicie radzą:
jedni z chłopów chcą zrobić obławę,
ku straszliwej zbójnikowi hańbie,
chcą go chwycić rodnemi rękoma;
drudzy króla chcą prosić o wojsko,
(króla w Budzie, cesarza we Wiedniu),

wojskiem całe obwarować Tatry,
jako murem zamek na Trenczynie.

Mocny Boże! Miły mocny Boże!

Aż się z stolca, z dębowego krzesła,
porwie żupan swatojański dumny,
w czarną brodę wbije palce krzywe
i zatarga nią, jak grzywą końską.
»Próżne mowy, cześciwi panowie! —
krzyknie gromko — Wszystko to już nieraz
próbowano, ale wżdy na darmo!
Szli spędzeni z dziedzin chłopi, wojsko
i hajducy — lecz zawsze na darmo!
Pierwej chwycić niedźwiedzia za kudły,
z podkrywańskich wywlec ciemnych lasów!
niźli w ręce dostać Janosika.

Chłopi idą, ale jąć go niechcą,
wojsku znika z przed oczu, jak mara,
hajduk się go lęka, jak upiora.
Siedm lat ssał on nie darmo pierś matki!
Powiadają, kiedy smreka chwyci:
dziewka lnu tak lekko nie wytarga,
jak on smreka wydrze z czarnej ziemi.
Powiadają, kiedy zatnie w skałę,
na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem w krąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,
albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbawi samoręcz:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spiscy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,

pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził
Szumnie radzą węgierscy panowie.

Hej! Janosik pod Krzywaniem hula,
najpiękniejszym się światem ze światów
cieszy — dziewkę ku sobie przytula.

Najpiękniejszy z podkrywańskich kwiatów.

Hej! Janosik pod Krzywaniem tańczy,
pod Krzywaniem, najpiękniejszą górą
ziemi — dziewkę u ramienia niańczy.

Hej! Janosik po izbie się nosi,
młodą chwałą, jako król purpurą
strojny — dziewki o coś okiem prosi.

Janosiku! zbójecki hetmanie!
miłe sercu twemu miłowanie!...

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Hej! Janosik o coś dziewki pyta
tańcujący we zbroi od złota
jasnej — widno, bo dziewka zakwita.

Hej! Janosik mocno dziewkę ściska
pod Krzywaniem, w najpiękniejszej stronie
ziemi — krew jej na licu połyska.

Hej! Janosik co od niej dostanie,
tylko spadnie na ziemię ciemnota,
na zielonem, na pachnącem sianie...

Hej! jak lico młodej dziewki płonie!...

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Janosiku! zbójecki hetmanie!
miłe sercu twemu miłowanie!...

Janosiku! zbójecki hetmanie!
po dziedzinach idzie głos o tobie,
taki idzie, że miłujesz obie:
i tę Martę młodą od Orawy,
i tę Hankę Bunkoszkę z Kokawy — —
Janosiku! dziewcząt miłowanie!

Ojciec Marty wyprawił zabawę
pod Krzywaniem, najpiękniejszą skałą —
sprosił na nią Janosika-Sławę.

Sprosił na nią szumnych gości masę,
wyniósł wina z piwnicy niemało,
sprosił na nie Janosika-Krasę.

Złote wino nalewał w puhary,
od radości lał po ziemi wino,
że Janosik mu tańczy z dziewczyną.

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Poza ścianą, poza czarnym węgłem,
od bladości podobna do mary,
stoi Hanka z sercem w piersiach stęgłem.

Stoi Hanka z sercem w piersiach spiekłem,
stoi Hanka z sercem z bólu wściekłem.

Białe zęby błyskają jej w wardze,
jak w paszczęce u wściekłej wilczycy,
w strzępy chustę nad piersiami tardze.

W strzępy chustę rwie, oczyma żarzy,
jak płomieniem nocnej błyskawicy,
ręce trzyma splecione u twarzy.

Hej! Żupani siedli na stolicy,
szable brusem ostrzyli huzarzy...
Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Hej! Krzywaniu! Krzywaniu! Krzywaniu!
Hej! Wy góry, wy bory szumiące!
Wy umiałybyście śpiewające
o zbójeckim powiedzieć kochaniu!

Jako lasem we świetle chadzali,
jak koło nich błyskiwało słońce,
jako w gęstwie śródleśnej śpiewali...

Jak maliny jasnobarwe jedli,
jako usta stulali gorące,
z wysokiej się zwoływali jedli...

Jak im płynął głos w świat na hukaniu...

Hej! Krzywaniu! Krzywaniu! Krzywaniu!...

Opowiedzcie wy góry i skały,
jako ogień kładli w czarnym borze,
jako słali koło ognia łoże,
jak im serca w młodych piersiach drgały...

Jak legali na miękkiej pościeli,
uplecionej z gałązek i ziela;
jak do rana spleceni leżeli...

Jak wstawali z żywicznej pościeli,
patrząc, że się świat ranem zabiela,
do potoku bieżeli, do chraści,
lico w wody zanurzyć huczące.

Jako rano, zanim wyszło słońce,
mgły zrywały się wpęd z nad przepaści...

Opowiedzcie wy lasy, potoki,
jakie mieli w dolinach świtanie,
jak płynęły nad nimi obłoki
zda się płókać stopy Maryi Panny;
jako wicher powstawał poranny
i z mgły siwe wydobywał granie,
za graniami niebo słał błękitne.

Jako capy gwizdały podszczytne,
w fijołkowych potracone skałach,
za różowe turnie poskrywane...

Jako wody robiły się szklane,
a im dreszcze płynęły po ciałach.

Hej! Wy góry, wy lasy szumiące!
Wy umiałybyście śpiewające
o zbójeckim powiedzieć kochaniu!

Hej! Krzywaniu, Krzywaniu, Krzywaniu!...

Do stolicy blada Hanka wpada,
do rady się żupanów melduje.

Cóż za dziewka przybieżała blada?
Cóż za dziewka piersiami dysząca?

Oczy u niej świecą jak dwa słońca,
dwie kwitnące jej piersi leluje — —

cóż za dziewka przybieżała blada,
co się oczu ogniami wpatruje?...

— Żupanowie! przejaśni panowie,
co chodzicie z pychą po Liptowie,
u dołmana ze złotą pętlicą,
za plecami z czarną szubienicą!

Żupanowie! przejaśni panowie,
co kroczycie z pychą po Liptowie
z brylantową kitą u kołpaków,
z buzdyganem kutym u czapraków!

Żupanowie! przejaśni panowie,
co stąpacie z pychą po Liptowie
u kolana ze złotym bułatem,
za plecami z purpurowym katem!

Żupanowie: przejaśni panowie:
przychodzę wam przezdać Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co się nad was jak orzeł kołysze!
Próżnoście go siłą próbowali

jak dziumbirskie niedźwiedzie brać w pęta.
Pod zaklętą stoi mocą czarów.
Kula odeń odskoczy odklęta,
szabla nad nim łuk jasny napisze.
Jego topór z czarowanej stali
drzwi ośmioro jak piorun przeleci,
sam wyrąbie regiment huzarów,
Drugi zrąbią jego towarzysze,
z którymi się pod Krzywaniem skrzyka.
(Z Huciankami się bawią przy czasie).
Sam Janosik pułk pogromi trzeci
mocą, którą zaklętą ma w pasie.
Nie dostać wam siłą Janosika,
jak nie spętać niedźwiedzia w parowie...

Z dziwem patrzą liptowscy panowie,
sam pan żupan powstał ze stolicy:
po izbie się toczy złota rzeka,
tysiąc jasnych toczy się dukatów
po podłodze w sądowej świetlicy.

Cóż za dziewka przybieżała blada,
co na zgubę Janosika szczeka?
co mu zgubę śmiertelną gotuje,

Cóż za dziewka, której darmo zdrada,
z białą twarzą podkrywańskich kwiatów,
co się w sądzie do rady melduje?

Cóż za dziewka przybieżała blada
o dwóch piersiach, jak wiosenne kwiaty,
dwojgiem piersi jak wicher dysząca?

Cóż za dziewka, co ciska dukaty,
i jak płomień straż bramną roztrąca?

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana!

Poimano orła na Liptowie,
poimano zbójników hetmana...

Poimano w pęta Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co był ludu słowackiego zdrowie...

Hej! żałosna wieści po dolinie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimano przy bladej dziewczynie
pod Krzywaniem zbójników hetmana.

W drzwi dziewiąte ciupaga się wcięła,
za drzwi dziewięć od Hanki zamknięta;
w drzwiach dziewiątych bez mocy stanęła.

Towarzysze z Huciankami społem
tańcowali precz daleko kołem.

Pas przecięła Hanka krzywym nożem.

Hej! Krzywaniu nad obłoków morzem!...

Z pod Dziumbiru, z puszczy, z ponad źródła
najwyźniejszą wieźli jodłę drwale...
W żyłach ludziom krew gorąca chłódła,
w siwym Wagu dębiły się fale;

szumiał Liptów łzami popod góry,
jakby po nim Wag się przelał wtóry,
jakby od gór zbiegły siklawice...

Postawili drwale szubienicę.
W gotowości kaci mieli sznury.

A cóżeś ty, Krzywaniu wysoki,
zaniewidział, oślepł nad doliną,
żebyś ty dał na konopne troki
Janosika wiązać między konie?

A cóżeś ty, Krzywaniu, oślepnął,
zaniewidział mgłą tumanu siną,

żebyś ty dał zbójników hetmana
po rodzonym wlec w pętach zagonie?

A cóżeś ty od mrozu zakrzepnął?...

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimali orła żupanowie,
cała na nim koszulka stargana.
Całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
obryzgują piękną odzież błotem,
sznur się wgryza do młodego ciała,
drogie dziewkom ciało gryzą pęta...

Cała na nim koszulka pocięta,
całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka, haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
jasne lico obryzgują błotem,
do ślicznego sznur się wgryza ciała...

Posłał pismo Janosik do króla,
do Budzyna, gdzie jest brama złota,
w jasną rówień, nad Dunaj głęboki:
Królu! nie daj mi odjąć żywota,

ja ci stanę za pułk wojska twego,
a za drugi mój topór obstoi,
a za trzeci towarzysze moi.
Podpisał się po chrzestnem imieniu.

Pismo posłał do króla samego,
w jasną rówień, na kastel wysoki,
czekał ztamtąd wysłańca w więzieniu.

Hej! jęczały góry i wąwozy — —
nie czekali wysłańca żupani,
wywiedli go spiętego w powrozy,
popod czarną wiedli szubienicę.

Nie zbielało Janosika lice.

Hej żupani! wy przejaśni pani! —
mówi do nich Janosik w powrozie —
dajcie mi się jeszcze raz ucieszyć,
niech mi zagra muzykant na kozie;
niechajcie mi mej śmierci przyspieszyć,
nim se jeszcze raz użyję tańca!
Niech se jeszcze by raz pójdę w koło!

(A on czekał od króla wysłańca).

Wołali mu kobziarza z pastwiska:
z okowami na nogach szedł koło,
dwanast razy szubienicę wkoło,

dwanast razy przeszedł koło ziemi
z łańcuchami u nóg żelaznemi,
a pot z włosów mu nie spadł na czoło.

Oniemieli ludzie z dziwowiska.

Nie czekali wysłańca żupani:
hak pod żebro ci mu mistrze wbili,
wywlekli go wysoko za sznury.

Hej! — powiedział im Janosik z góry —
wy czerwoni mistrzowie wybrani:
kiedyście mnie haw już zawiesili,
zawiesili na tym krzywym haku,
cobym sobie poglądał doliną,
hej! doliną, za zbójecką percią:
niech się jeszcze ucieszę przed śmiercią,
niech se jeszcze pokurzę tabaku...

Podali mu fajkę z macharzyną:
funt wykurzył, a patrzał doliną — —
hej! doliną poglądał przed śmiercią...

Za liptowską, za jasną doliną,
W jądrze Tatrów jest kotlina siwa,
w niej staw ciemny, cichy i głęboki.

Janosika złote oczy płyną,
płyną z wichrem przez góry, obłoki,
w tym Hinczowym utonęły Stawie.

Hej! — tak on się do siebie odzywa —
ty mój stawie ciemny i głęboki,
coś mię poił tyle razy wodą,
ciało moje radował ochłodą:
już ja więcej ciebie nie zobaczę,
ni się więcej nad tobą zabawię,
jako orzeł lecący nad góry!
Sęp nademną krąży siwopióry,
kruki kraczą nade mną sobacze...

Hej! zbójeckaż to, zbójecka dola!

Nie czekali pisma żupanowie,
nie czekali wysłańca od króla,
co z budzyńskiej wyjechał stolicy.

Hej! Janosik poźrał po Liptowie
i zaśpiewał w Liptów z szubienicy:

Zajęczcie góry, wąwozy,
pojmali ci mnie w powrozy,
pojmali ci mnie z zdradziecka —
hej! ty dolo, ty moja zbójecka!...

Pojmali ci mnie przez zdradę;
prze dziewczę jedno, prze blade,
pojmali ci mnie kochaniem —
hej! ty lesie, ty mój, pod Krzywaniem!...

Żegnaj liptowski Dziumbirzu,
żegnaj Magóro na Spiżu,
wysoki Hoczu z Orawy,
hej! ty Krzywaniu od Polski mgławy!...

Żegnajcie wody i rzeki,
żegnaj Dunajcu daleki,
Arwo, Popradzie zielony,
hej ty Wagu mój, Wagu rodzony!...

Żegnajcie Okna i Stoły,
zbójeckie spichrze, stodoły,
żegnaj ty strono lubiona,
Kościeliska Dolino zielona...

Żegnaj Gajdosiu, Ilczyku,
dawny herszcie Uherczyku,
Baczyński, polski szlachcicu —
hej! już mi śmierć bieleje na licu...

Żegnajcie, mili bratowie,
szabla nad wami na głowie,
żegnaj, muzyko wesoła —
hej! już mi śmierć dotyka się czoła...

Żegnajcie miłe dziewczęta,
już mię śmierć bierze przeklęta,
żegnajcie, noce kochania — —
hej! miłe mi, miłe do skonania...
Żegnaj, ty dolo zbójnika,
orłowa dolo i dzika!
Koniec mojemu konaniu — —
hej! Krzywaniu, Krzywaniu, Krzywaniu!...

Szumią stare lasy pod Krzywaniem
we Wierchcichej, w Koprowej dolinie —
popod Tatry żałosna wieść płynie,
z Janosika w świat płynie śpiewaniem.
Poprzez lasy płynie het, przez pola,
leci, jęczy po słowackim kraju;
zaleciała do samego króla,
złotą bramą, mostem na Dunaju.

Wstał król na wieść ze stolicy swojej,
ze złotego tronu w mieście Budzie,
i uderzył berłem po kolanie
od lutego gniewu i żałości:

Hej! — zakrzyknął — kto mi dziś, wy ludzie,
ministrowie i książęta moi,
za regiment wojska sam obstanie,
a za drugi czyj topór obstoi,

a za trzeci jego towarzysze?!
Niech tu zaraz pisarz stół wymości
i niech wyrok mój królewski pisze:

Po wiek wieków i po wszystkie czasy
Liptów cały, że dał Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co mi wartał za trzy regimenty:
do królewskiej będzie płacił kasy,
cwancygierów rok rocznie ćwierć korca.
Ten jest wyrok mój królewski święty.
Niechaj zaraz wyrusza poborca.

Taki wyrok wydał król w Budzynie,
taka kara na świat cały słynie.

Tak się skończył Janosik. Na jedli.

Co za dziewka bieży w górę blada?
Co za dziewka piersiami dysząca?
Rzęsy u niej jak jastrzębie skrzydła,
oczy u niej błyszczą jak dwa słońca?
Co za dziewka, której szyja śniada
napęczniała krwią w czoło bijąca?

Piersią targa maliniaków sidła,
ramionami chuściaki roztrąca,

bieży w górę pod Krzywań wysoki,
bieży w pustkę — w pustynię samotną.

Hej Krzywaniu, Krzywaniu wysoki,
dzikie szumią pod tobą doliny...
Zwiesiły się nad góry obłoki,
zwiesiły się ciemną ławą słotną
nad Niechcyrkę, nad dziką dolinę...

Biały potok, jak smok z rozpadliny
paszcz wynurza i rzuca się z góry
między ciemny zwał kosodrzewiny...
Z jękiem leci, jak wąż się wydłuża,
jak wąż ciało pręży srebnosine,
spływa na dół w głazy — z rozpadliny,
białą paszczę jako smok wynurza.

Lite skały ponad wodą stoją
niewzruszoną, spokojną ostoją.
Strome skały wypiętrzyły ściany
aż pod bałwan nieba ołowiany.

Nic się na nich zgoła nie udzierży.
Orzeł szponów niema gdzie wbić krzywych —
na nich pustka, Śmierć spokojna leży
nad czeluścią otchłani straszliwych.

Ciemne słotne nad Niechcyrką chmury —
Teryjański Staw śpi pośród lodów —

wkoło głazów, szarych skalic mury
i przeciągły wiew wieczystych chłodów.

Cicho leżą na głębinie lody,
w szczerbach woda się czerni nieżywa —
po zmarzliźnie białe strugi wody
wiatr gna wkoło i w pyły porywa.

Cicho leży lód na wód głębinie
popękany, głębią poczerniały —
Śmierć się w chuście z obłoku przechadza,
głowę na dół schyliła w zadumie.

Śmierć jedyna chodzi po dolinie,
wicher jęczy między puste skały,
Śmierć tatrzańską pustką oprowadza
i kołysze chmur całun na szumie.

Śmierć jest sama w Niechcyrki dolinie.

Teryjański Staw biały chlupoce:
głaz się stoczył z skalnego parowu,
runął z grzmotem i przepadł w odtoce — —
Teryjański Staw biały śpi znowu.

Stoi nad nim ta Hanka z Kokawy,
co zdradziła panom Janosika...

Stoi nad nim, broczy z wargi krwawej,
krwawym zębem warga się odmyka,

krwawym ogniem powieka odchyla,
jako piorun nad nocną ciemnotą — —
a nad stawem się ciałem pochyla...

Stary Krzywań patrzy na nią z góry,
nawskróś wichru, przez chmury szumiące...
Hej! ty Hanka Bunkoszka z Kokawy!
Hej! ty Hanka, co ci gorą oczy!
Gdzie Janosik pod pawiemi pióry?
Gdzie Janosik pod zbroją, pod złotą?
Hej! ty Hanka, krwawy płodzie smoczy;
Gdzie Janosik, zdrowie śpiewające?
Gdzie Janosik, krasa śpiewająca?

Był ci, był ci nade mną wschód krwawy
od czerwono wstającego słońca...

Szumi nad nią stary Krzywań siwy,
pomniejący potopowe fale,
co mu głazy twarde rwały z grzywy.
Zadumał się, zasmęcił żałośnie...

Hej ty wichrze, wy chmury szumiące!
Już mi drugi taki nie urośnie,
co jak piorun przelatał po skale,
co jak burza leciał popod słońce,
jako kwiaty mi kwitnął o wiośnie...
Hej, wy góry, lasy śpiewające,

już mi drugi taki nie urośnie!...
Stoi Hanka Bunkoszka nad wodą,
ponad białym Teryjańskim Stawem;
zagnała ją w pustać żałość dzika,
zagnały ją żal i rozpacz luta,
węże za nią po powietrzu biegą,
okręcają jej szyję we sploty...

Ach! przezdałam panom Janosika,
przezdałam go z siłą i urodą,
przezdałam go pięknego, młodego...
Ach! przezdałam ci go z sercem krwawem,
dusza z piersi leciała wypruta,
dusza z jękiem jęła się we wzloty...

Szumi nad nią stary Krzywań mgławy,
szumi nad nią przekleństwem posępnem,
wiatr je z jękiem w pustce oprowadza.
Ponad stawem, w pustkowiu zasępnem,
Śmierć się w chuście z obłoków przechadza...

Hej! ty Hanka Bunkoszka z Kokawy!
Ból ci oczy twe krwawe zaczadza,
rozpacz wargi krwawiące odmyka...

Ach! przezdałaś panom Janosika!
Ach! przezdałaś Tatr cudo i krasę!
Ach! przezdałaś Tatr umiłowanie!

Gdzie są jego złote, jasne oczy?
Gdzie są jego złotojasne włosy?
Gdzie są jego młode usta krase?
Gdzie jest jego młodzieńcze śpiewanie?

Ach! ty Hanka, ty krwawa z Kokawy!
Ach! ty Hanka, ty pomiocie smoczy!
Oby śmierć cię zajęła za kosy,
za twe kosy rozwiane i czarne,
w oczy twoje zajźrała pożarne!...

Co wzdrygnęło górami wszystkiemi?
Co zatrzęsło nad Krzywaniem chmury?

Ha! Z rękoma rozkrzyżowanemi
Hanka w czeluść skoczyła lodową...

Teryjański Staw buchnął do góry
i zaszumiał mgłą piany wichrową —
utonęła Hanka na głębinie.

Pod Krzywaniem dzikie są doliny:
oszalałe czają się w nich burze,
Śmierć się snuje pod skaliste ławy,
ciemny postrach i strach błądzą siny — —
tam w Niechcyrce, w posępnej dolinie,
w Teryjańskim białym Stawie, w górze,
utopiła się Hanka z Kokawy.

O JANOSIKOWYM TURNIEJU.

W Budzynie*) na wzniesieniu król siadł na
[złoty tron,
zjechali się magnaci ze czterech kraju stron,
zjechali się magnaci ze zamków i ze wsi —
wyprawiał król turnieje ku lubej córki czci.

Otrąbią heroldowie królewskich zabaw czas,
jechali wnet panowie — dwunastu jedzie wraz:
Bathyany na ich czele, z królewskiej wiódł się krwi,
tuż książe Esterhazy od złotej zbroi lśni;

Markgraf Pallavicini szkarłatny czaprak miał,
czerwony mu proporzec z długiej kopii wiał;
grof Erdoedy i Palffy, Festetics, młody zuch,
i dumnych z swej urody hrabiów Tekelych dwóch.

Tuż czterej inni jadą, konie pod nimi rżą,
pancerze polerowane na piersiach im się szklą,
lamparcie centkowane skóry zwisają z bark
i dumne pióropusze muskają hardy kark.

Wjechali na arenę, przed królem skłonią się —
o dank królewny walczyć każdy z rycerzy chce —
wtem wszedł od furty pola między rycerzy chłop
i skłonił się królowi czapką do samych stóp.

---

*) Buda.

Królu — tak się odezwał — przychodzę skargę wnieść,
za hańbę naszych dziewek, za chłopskich kobiet cześć:
Dwunastu tych rycerzy dwanaście naszych dziew
uwiodło w chłopskich siołach — — niech płynie
[krew za krew!

W dwunastu chatach hańba, w dwunastu chatach
[płacz —
królu na złotym tronie — wysłuchać mię dziś racz!
Być musi krwi spłókanie, być musi krwawa lić!
Za wstyd słowiańskich dziewek ja się przychodzę
[mścić.

Cisza zaległa wkoło, w zdumieniu każdy stał.
Ktoś ty jest — król się pyta — coś do mnie mó-
[wić śmiał?
Hetman zbójecki jestem, Janosik, rodem z gór.
Zdumiał się król na tronie i z królem cały dwór.

I na królewskie lico zwolna wystąpił gniew,
zjeżyły mu się wąsy, zmarszczyła siwa brew,
popatrzył na dwunastu panów węgierskich huf —
dwanaście pod piórami w dół się schyliło głów.

Jakże to walczyć żądasz? czołem w dwanaście czół?
Janosik odrzekł na to: Z wszystkimi, królu, współ!
Jeden wiatr zedmie, królu, zboże z dwunastu pól —
dwunastu tych rycerzy mej jednej garści zwól.

Król skinął berłem z tronu, zagrzmiały trąby wraz.
Janosik czuchę zezuł, poprawił sobie pas.
Juhaską miał koszulę, przy portkach złoty sznur;
sam król dziwował mu się i z królem cały dwór.

U czapki złotych blaszek błyskotał mu się pęk,
co tylko głową ruszył, czyniła czapka dźwięk;
miał w toporzysko wbity mosiężnych kółek rzęd,
co kroczył, to zazberczał. Podkówki miał u pięt.

Ścisnął ciupagę w garści — tak stanął on to tam.
Zagrali heroldowie, dał berłem znak król sam.
Dwanaście się zmierzyło kopij — drzewiany las —
w Janosikowe piersi dwanaście kopij wraz.

Hej! jako to tam było w Budzynie złotym, hej?
Co się hań na stolicy królewskiej stało wtej?*)
Jako to na dniu onym król się zabawiał tam
ku lubej córki cześci u złotych miasta bram?

Dwanaście w mig skruszonych kopij upadło w piach;
dwanaście migło mieczów z polerowanych blach.
Hej! Kie Janosik skoczy, kie się zamachnie z rąk!
kie gwiźnie po juhasku! kiedy zatoczy krąg!

Jak ogień objechała ciupaga wkoło w błysk!
Zwalił się graf Erdoedy przecięty skróś przez pysk!
Markgraf Pallavicini cuglami konia zdarł,
przez samo ciemię cięty piach krwawy głową tarł.

*) wtej = wtedy (góral.).

Runął Bathyany książe na lewo, w prawo dłoń
odcięta razem z mieczem; graf Palffy wziął przez skroń,
i książe Esterhazy niedługo w piasku legł,
palcami grabał ziemię i zbielał wnet jak śnieg.

Niedługo się ku słońcu hrabia Festetics śmiał —
padł martwy obok martwych braci Tekelych ciał
i inni za nim legli u Janosika stóp,
a on odetchnął tęgo, gdy padł dwunasty trup.

I sparł się na ciupadze i bujny stał, jak buk:
dwunastu dumnych panów leżało mu u nóg,
dwanaście ostrych mieczów, dwanaście złotych
[zbrój —
niemo patrzyli ludzie na ten śmiertelny bój.

I skłonił się Janosik czapką do króla stóp —
nikt słowa nie przemówił, świat milczał jako grób.
Dwanaście krwawych trupów musiano z pola
[nieść — —
tak pomścił się Janosik za rodnych dziewek cześć.

JAK JANOSIK TAŃCZYŁ Z CESARZOWĄ.

Pagórami, wzgórzami, równiami,
szedł Janosik i z towarzyszami.
Ilczyk, Gajdoś, Baczyński, Surowiec
szli po za nim przez bór i manowiec.

A w około była pustka dzika,
dzika pustka, siostra Janosika,
Janosika siostra, matka, żona,
dzika pustka, sercem ulubiona,
ulubiona sercu, oczom, duszy,
górska pustać, którą wiatr się puszy.

I ujrzeli miasta pod górami,
białe miasta z białemi wieżami,
i winnice ujrzeli kwitnące
i po łąkach stada stąpające;
zobaczyli zboża jak makaty
i jak gwiazdy na niebiosach kwiaty
i Dunaju rzekę modrosiną,
której wody aż do morza płyną,
i patrzyli z pagórów uprzejmie
na tę ziemię, jak oko obejmie,
i patrzyli na nią po przyjaźni
ci zbójnicy wierchowi i głaźni.

Nie o złoto im szło, ani srebro,
mieli złota schowanego dość,
mieli srebra aż pod piąte żebro,
że jak jodły z niego mogli róść,
jako jodły, gdy obsypie śnieg,
a Tatr łańcuch tego skarbu strzegł.

Nie o złoto i srebro im szło,
ani chcieli rąk czerwienić krwią,

ani chcieli na świat trwogę siać,
ni żupanom znać o sobie dać;
niech niedzicki i orawski gród
śpi spokojnie, patrząc w głębię wód;
lewoczański i koszycki graf
niech dumają, że Janosik praw...

Hej, praw on im! co łupieżą lud,
co słowiański piją pot i krew!
Lecz Janosik chce wesołych nut,
austryackich, modrookich dziew,
bo go walka strudziła i bój
i utrudził zbójowania znój.

Jam odbierał możnym i ubogim
dawał z możnych uzbierany łup;
jam w jedwabiu plątał ręce drogim
i wieśniaczkom go rzucał na ślub,
com go kupcom na gościńcu wziął,
a w królewskie ornaty jam dął!...

Tak se myślał i poszedł przed siebie,
bo on chodził, jak orzeł po niebie.

Hej! — powiada mu Surowiec. — Ano
widzę karczmę przed się murowaną,
jeśli chcemy dusze poweselić,
prosto do niej jak z flinty wystrzelić.

Popatrzył się Janosik pod słońce,
popod palce od blasku jarzące,
i powiada po niedługiej chwili:
dobrze, chłopcy, tam będziemy pili...

A gdy przyszli do karczmy, do białej,
austryackie dziewki tańcowały,
austryaccy tańcowali chłopcy —
pogłądnęli, że przybyli obcy.

Wszedł Janosik do karczmy, do białej,
stanął we drzwiach, jak dąb okazały,
jako dęby, towarzysze za nim,
w drogiej zbroi, w ubiorze nie tanim.

Siedli za stół, kazali dać wina,
austryacka pojrzała drużyna,
muzykowi do garści dał — naści! —
sam Janosik dwanaście dukatów.
Powstał cygan: co mam zagrać waści?
A Janosik: graj sam, do stu katów!
Nie dla siebie ja płacę twą pracę,
graj tym dziewkom! Za ich taniec płacę
i funduję im tutaj zabawę,
co na Austryę pójdzie i Morawę!

Wstali na to austryaccy chłopcy,
od siekiery i cepów parobcy,
obstąpili kołem Janosika:

Ktoś zacz?! — krzyczą. — Hajże na zbójnika!
Nam tu twego nie trzeba płacenia!

A Janosik brał dziewcząt spojrzenia.

Nam tu twego nie potrzeba złota!

A dziewczęta pociąga ciągota.

Nam tu takich nie potrzeba gości!

A Janosik podrgnął od lubości,
bo ile ich było w karczmie tam
krasnych dziewek, malowanych lic:
wszystkich serca wziął Janosik sam,
patrzał, płonął, o tłum niedbał nic.
Aż nareszcie, gdy mu byli blizko,
rzekł w to mrowie, jak na pośmiewisko:
powitania przyjmcie czestne słowo,
Austryacy, a na bok ten gniew,
ja wam waszych nie uwiodę dziew,
ja se będę tańczył z cesarzową.

Oniemieli, potem w głośny śmiech,
aż zajękło na strychu od ech,
a Janosik kazał podać pióro,
skrobnął nożem, zaczernił miksturą.

Najjaśniejsza cesarzowa pani —
tak do Wiednia pisał nieobdalno*) —

*) nieobdalno = niedaleko (góral.).

tańcują tu dziś twoi poddani
i my tutaj zaśli drogą halną,
do twojego niemieckiego kraju,
z popod Fatry, Matry, ku Dunaju,
od tatrzańskich dolin staroleśnych,
het do twoich dziedzin białowieśnych,
ja, Janosik, Ilczyk i Baczyński,
polski szlachcic, wnuczek starościński.
Ale nam tu bronią swoich dziewek,
a zatańczyć mamy też ochotę,
proszę, pani, zawdziej przyodziewek,
kolce w uszy i trzewiki złote,
w złotych butkach przyjedź do połednia,
bo inaczej ja pójdę do Wiednia.

Taki popadł na Burg cały strach,
że aż stary zadygotał gmach,
bo Janosik posłał pismo swoje
przez Gajdosia na złote pokoje.

Zawołała cesarzowa pani:
słudzy moi i moi poddani,
prince, grafy, burggrafy, barony,
wołajcie mi huzarów szwadrony,
zaprzęgajcie mi paradne kocze,
dworskie panie niech się w strój obleką,
niech się sama w strój świętny obłóczę,
bo Janosik tu ztąd niedaleko!...

Rozbiegły się grafy i barony
wraz z lokajstwem na wsze cztery strony.

Zadudniało na dunajskim moście —
karczmarz mówi: jadą nowi goście!
Tłum pogląda i oczom nie wierzy:
cesarzowa w odświętnej odzieży,
cesarzowa, Maryja Teresa — — —

Gott im Himmel! Krajckrukskriks! Herr Jessa!

Wypadł karczmarz i wypadli chłopi,
łby pogięli z kudłami z konopi,
na kolana popadali kołem,
a Janosik siedział po za stołem,
febra nimi od strachu potrząsa,
a Janosik gryzł czarnego wąsa.

Ozwała się cesarzowa pani:
jak się macie, słudzy i poddani?
Czy w tej karczmie, Dei Filii Mater,
jest Janosik, przybyły od Tater?

Drżącem słowem landwójt się ozowie:
są tu jacyś okropni zbójowie,
najjaśniejsza pani cesarzowo,
a jenerał ich rzekł takie słowo,
za które go stryczek będzie niańczył:
że on z tobą, pani, będzie tańczył!...

Rzekła na to cesarzowa: głupi!
Zamknij gębę, boć ją kat obłupi!
Chcesz ty Burg mój i moją stolicę
w pył obrócić i przemienić w nice?
A czy nie wiesz ty, barania głowo,
co to wyzwać moc Janosikową?
A czy nie wiesz, ośle zatracony,
że on góry podnosi ramiony?
A czy nie wiesz, ty kpie z nad Dunaja,
że on ludzi rozbija, jak jaja?!

Spuścił głowę landwójt ledwo żywy —
konie w koczu potrząsały grzywy,
potrząsały grzywy z pod huzarów,
a łydkami dygotał huf parów;
austryackie wystraszone pany
harcopami podpierały ściany.

Wstał z za stołu Janosik w czerwieni,
bo miał serdak czerwieniućki nowy
i na portkach sztof karmazynowy,
i wystąpił poprzodku do sieni,
a po za nim towarzysze jego
zbrojni, strojni, a oczyma żegą.

I pokłonił się Janosik pięknie,
na kolano lewe on przyklęknie.
Nie klękam ja tu przed cesarzową,

ale składam dank za moje słowo
i nawet was pocałuję w rękę,
żeby moją okazać podziękę,
bobym iście, byście nie przybyli,
na wasz Wiedeń musiał iść tej chwili
i tak grzecznej, jako wyście, pani,
mury musiał pogruchotać w dani...

Na tak piękne jego zaproszenie,
cesarzowa wstąpiła w podsienie.
A gdy puścił ją, wstawszy, przed sobą,
pańską w karczmę wstąpiła osobą.

Hej! Cyganie! — Janosik zawoła —
Zagrajże mi ozwodną dokoła,
zagrajże mi na nutę, na żywą,
sto dukatów naści tu na piwo!

I rzucił mu, wydostawszy z pasa —
Janosika chce potańczyć krasa,
Janosika chce potańczyć siła,
co mur łomła i góry nosiła.

(Cyganowi psu dukatów isto
dał Janosik tam dwanaście i sto!)

I zdjął kołpak z głowy dziany złotem,
w dyamenty kołpak naszywany,
złotem śmignął po ziemi, jak błotem,

brylantami rafnął ziem, jak piargiem —
hej! cesarko! proszę z sobą w tany,
niech się dziwią aż za Nowym Targiem!

I pokłonił się do stóp szeroko,
a muzykom rzucił jasne oko.

Ci wycięli smyczkami od ucha,
aż z strun iskier prysła zawierucha.

A od okien Surowiec z Ilczykiem
i z Gajdosiem gardłem wiodą dzikiem:

»Werbuje, werbuje cysarka Tereska,
już powerbowała, kany jaka wieska!

Byli tu rajtary, pytali sie o nas,
stryła im maciery, co im było do nas!

Werbujom, werbujom i na siłe bierom,
nasi horni hłopcy ka sie popodziejom!

Howałaś mie matko, jak pszenicne zarno,
teraześ mnie dała cysarecce darmo!

Cyli na miastecku, cyli na dziedzinie,
kie mie kulka trefi, to mie śmierzć nie minie!

Nie umrem na ziemi, umrem na koniowi,
jak z konia polecem, siabla mi zazwoni!

Syćko popatrzujem ku temu Giewontu,
nimogem utrzimać głowicki do frontu!...

Kiek na wojne jehał, ociec na mnie wołał:
wróć sie synu, wróć sie, bo ja cie odchował!

Synacku przy wojsku, nie zabacuj o tem,
ześ pasał krowicki u matki pod płotem!

Płakała dziewcyna trzy godziny do dnia,
ze jej kohanecka zabrali do ognia!...«

Tak śpiewali, taką pieśń,
ty, Cyganie, ognia skrześń!
Ognia skrzesaj, iskry z strun,
sto tysięcy zapal łun!

Nie pytaj się: kto — ni: co?
Graj, bo płacą! Graj, bo tną!

Cesarzowa poszła w tan,
chwiał się jej perłowy wian.

Cesarzowa w taniec szła,
dyamentów po niej mgła.

Cesarzowa w taniec idzie,
a barony stoją w glidzie.

Żółte łby i długie nosy,
stoją Niemcy, jak w rząd kosy.

Stoją damy, jak w rząd grabie,
i wieśniacy, chłop przy babie.

Cudują się sami sobie,
czy na jawie są w tej dobie!

A Janosik, nakształt króla,
z cesarzową sobie hula.

Stanął przed nią, cupnął wprzód
prawą nogę, lśniący but.

Lewą piętą wyciął w tył
w dyle karczmy, co miał sił.

Prawa — lewa — krok za krok,
w tył się cofał, wsparty w bok,
a z podkówek leciał blask
i z karczemnych dylów trzask.

Cesarzowa — suknia w dłoń —
jak z obrazu sunie doń.

Dudni karczma, trzask i puk,
sam Janosik grzmi stem nóg!

Gdy się zwyrtnie, jako wiatr,
strojem szumi, jak wiatr z Tatr.

Cesarzowa w perły dzwoni,
to ucieka, znowu goni.

A co przyjdzie ku muzyce,
to uśmiecha się jej lice.

A szeleści atłasami,
jak w jesieni wiatr liściami.

Gdy skończyli usiadła na skrzynię —
obskoczyli ją grafy, grafinie.

A ona im powiada w te słowa:
To mi tancerz, jakem cesarzowa!

Na Wielkanoc, dwie mile za Lincem,
tańcowałam z Lichtensztajnem princem.

Tańczył ze mną królewic francuzki,
kurfirst saski i gesanter pruski.

Feldmarszałek książe Esterhazy
tańczył ze mną w Budzynie dwa razy.

Wszystko byli to wielcy tancerze,
ale wszystkich niech ich kaduk bierze!

Przy zbójeckim tym halnym hetmanie
znam dopiero, co jest tańcowanie!...

Tak Janosik tam zatańczył, gdy go zdjęła chęć.
Grzmiała karzczma od wiwatów na mil wkoło pięć.
Grzmiała jeszcze, gdy odchodził, gdy wracał do gór,
uderzyła jego sława o wiedeński mur,
hej, od Wiednia aż do Budy grzmiała jego sława,
powtarzała ją Orawa, Cisa, Sawa, Drawa,
Dunaj, Wisła i Dunajec i głęboki Wag.
Tak on tańczył, on, co zamki butem miął na prag, *)
tak on tańczył, on co biednym z możnych dawał łup
i słowackim stał dziedzinom jak słoneczny słup,
przed którym się Węgry gięły, aż go im wydała
własna rodna hej! Słowianka urodnego ciała,
własna rodna Liptowianka — — zwisł na szubienicy,
a po całej jęk słowackiej popłynął ziemicy.

Tak Janosik tańczył z cesarzową
niedaleko Wiednia u Dunaju.
Hej! Powiedzcie wy wichrową mową
stare Tatry, wy, grodzie do kraju,
hej, powiedzcie, jacy byli ptacy,
jakie orły i jacy junacy!

LIST HANUSI.

Kochany Jerzy mój! Pisę tu stela
ten list do tobie, a pisęcy płacę.
Świat mię calućki nic nie uwesela,

*) Prag — góralsk.

kie w lesie pasę, hnet krowy potracę,
bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
kraju i cy cie tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
mój złociusieńki, tobyś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
łzy ino syćko z ocy mi się lejom,
nik tego niewié, za kim jo banuję,
ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom wciągle w serce kłuje
i nie wiem, ka się me ocy podziejom
od tyk łez... Widzi się, co mnie powiezom
wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk héba jo sama wolała
lezeć hań, niźli tak płakać daremno,
a kie spać legnę, to poduska cała
mokra, kie wspomnę, jakeś ty spał se mną.
Kwilo jedyna, kaześ się podziała,
kieś ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
i kieś mię objon tak serdecnie w rence,
jakbyś przy miejskiej lezał ka panience...

Jo znam, ze biédna jo prosta dziewcyna
góralska, o mój ty najsłodsy, złoty,
to nie lo tobie, lo pańskiego syna,
ale juz ledwo wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
nijakiej niémam do jadła ohoty,

ani do tońca. Hłopcyska się śmiejom,
a moje siwe ocy wciąz łzy lejom.

Kie na odwiecerz przed hałupom stanę,
pojźrę, jak słonko za wiérchy się kryje,
wspomnę, jak my się pod ten samą ścianę
kryli: to zol mię mało nie zabije,
a serce moje, jakoby pijane
tłuce sie w piersiak. Tęca wodę pije
z rzeki, ale tyk łez wypić nie musi,
co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Jasiek tu fciał mnie brać, a mama z tatą
straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
zimom, a zima przódziej latem stanie,
niźli ja bedem jego. Więc się na to
ozgniéwał i rzók, co on mnie dostanie,
hébaby w niebie miesioncek zaginon,
abo Dónajec w górę sie przewinon.

Miałeś tu do nas przyjehać na Gody,
tagek cię ino syćko wyglondała,
a tak mi było, jak rybce do wody,
jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendyl potajały lody
i śnieg juz w turniak wyginon bez mała,
a tobie niémas jednako nikany,

---

*) nie musi = nie zdoła (góralsk.).

mój złociusieńki i umiéłowany.
Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
abo co inse, od cego broń Boze!
Nie zabacujze tak swojej dziewcyny.
U nas som zdrowi w hałupie, niémoze
ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niek cię Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję — Anna.

DRUGI LIST HANUSI.

Kochany Jerzy mój! Pisę tu stela
ten list do tobie, a pisęcy płacę...
Cas się spopielił, jak się wiór spopiela,
patrzem poza się i w smutku się tracę —
ni mnie, ni tobie nie było wesela
i jakomś próznom dał nam Pan Bóg pracę —
i dziś, kiedy się za się obejźremy,
po co my zyli haw: sami nie wiemy.

Bacę cię — młody, kieś się rwał na skały,
a widziało się, ze cię skrzidła niesą;
wichry ci ino ponad cołem wiały;
z pod nóg piarg fyrcał, jaz się iskry krzesą...
Bacę cię... Kie ci gęśle zahucały,
jako się w tobie sytkie siły ciesą!...

Bacę cię, bacę — — haj to dawno było — —
tak w mojém sercu dziś, jak kieby śniło...

Ka się podziała moja młodość... krasa...
cy jom na smentarz już powieźli w trumnie?
Kie jo puściła głos na kraju lasa,
z drugiej doliny echo grało ku mnie...
Ka się podziała, Jerzy, młodość nasa?
Ka się podziało, co śpiéwało siumnie
we wnątrzu serca? Ka syćkie nadzieje — —
i ka się po nik ten zol popodzieje?...

Ka się podziejom te łzy, co mi z ocy
lecom na moją jasność przepadniętą?
Ka ten blask z moik dziéweckik warkocy?
Ka to kozdego dnia kwitnące święto?
Hej! Wto hań krowy zenie do ubocy?
Wto się w gmłę nurzy w halak ozwiniętą,
ze ino zwonki słychać zbyrkające
i krów po głosie zwonków suko słońce...

Hej! Wto hań pudzie w zielone upłazy
kie wiesna kwiaty pachnące ozsieje?
Hej, Jerzy, Jerzy! Kieloześ to razy
leciał ku sopom, jaz się serce śmieje!
Kiek cię widziała skakać ponad głazy,
ciupaga w garzci, pióro z orła wieje
przi kapelusie: tak się mi widziało,
ze we mnie, jako w wiejskim sadzie, biało...

Hej, Jerzy, Jerzy! Bacys ty, kiedy my
z przełęce dołu patrzyli we złote
dni!... Ciemne z water wolarskik sły dymy,
potok się pienił, het nizko — w mrakotę
walił się leśnom — a my se lezymy
we wiérchu, w górze, samiućcy, jako te
ptaki — i niebo ino jest nad nami
i wiatr i kajsi Pan Bóg z janiołami...

Ten wiatr, coś w nozdrza wciągał go z niebiosów,
wiater, ziołami wiérchów woniejący,
tysiącem cudnyk śpiéwający głosów,
janielskik zwonów zbyrkotem zwoniący — —
ten wiatr, ze ścigłyk oderwany włosów
siklawy, w przepaść ze stawu lecącej — —
ten wiatr, co ślizgał się w graniak po lodzie
i w niebo leciał, jak zorza o wschodzie!...

O Jerzy! Bacys te długie godziny,
kie my z przełęce hań na dół patrzali?
Przed nami Tatry, scyty, ozpadliny,
sparzty, a słońce ponad nie się pali...
Cicho... Tam głos juz nie doleciał iny,
héba się z turnie ka skała odwali
i grzmi — a zreśtom cicho dookoła,
jako po przeńściu pomoru janioła.

Hej! Ponad nami przeleciał ten moru
janioł i palce tknon nam głowy obie — —

trzaski z twojego nie ostało dworu,
wedle mnie pusto za zycia, jak w grobie — —
ty, jak ptak ślepy, od boru do boru
laces — ka gniazdo? ka sen w nocnéj dobie
cichy, spokojny we swojej siedzibie?
Ja, jak to drzewo, co się w pustce chybie...

O Jerzy, Jerzy! Nie takiej my doli
przed się patrzyli, nie takiej cekali...
Łzy ocy gryzom ah! i serce boli — —
pono my zycie oboje przegrali...
A w ten zimowy wiecór, jako z roli
kłosy zgniecione, co je grad przywali,
wstają: tak wstaje i staje przede mną
sytko, co wołać i prosić daremno...

Stają przede mną jakby córki, syny
zmarłe — — po głowak głaskam je ręcami...
To som umarłe zywota godziny!
A my dziś, jako trupy nad truchłami!
Bo sytko zywe hań — pod kupą gliny!
Bo sytko zywe hań — pod popiołami!
Bo sytko zywe hań, ka pamięć nasa
i serce, w htórem zar od łez dogasa.

O Jerzy, Jerzy! Ze tys my oboje
nic, ino za się patrzymy zwróceni — —
co mi ta ludzie, co mi zycie moje!
Mnie się na grobak jino ruń zieleni...

Tak, jako jedla, nad grobami stoję,
a kie powicher uderzy w jesieni,
to mnie wyłomie, wyrwie z korzeniami
i na ten smentarz praśnie poza nami...

Przyjdź ty i siednij na tę ponade mną
mogiłkę lichom — nad dziéwcyną sprostą,
posiedź se kiedy na niej w nockę ciemną,
a patrz ku gwiaździe, co nad tobom prosto
zaświeci... Te łzy, od wtoryk mi ciemno
dziś w ocak: sytkie się w tę jedne zrostą
gwiazdę i przed cię, jak Pan Bóg podzwoli,
spadnie ta gwiazda ze sytkiem, co boli...

O przydź i siednij na mogiłke moję,
a skoro tobie śmierzć zabiere przódzi,
jo ci grób w limby gałęzie ustroję,
a przydem cicho, kie nie bedzie ludzi,
jo ci kozłowca dam na serce twoje,
maku nasypię, nieg cię nic nie budzi,
i w grób twój cicho zaśpiewam tę naskom
nute góralskom, tę twojom, juhaskom...

Cicho zaśpiewam — a nuta się wemknie
do grobu twego i grała hań będzie —
i lat tysiące ci jak kwila, przemknie...
O Jerzy, Jerzy! Tak mi się myśl przędzie,
jak len — — i patrzem, cy się nie odemknie
izba — cy w dźwiérze wesele nie weńdzie,

ręcy nie poda ku mnie? Nic dokoła!
Ino coś na mnie z pola: »pódź juz!« woła...

Zakiela pude haniok: wstaj z pod darnie
z gęślami twémi, stary muzykusie!
Graj, jako drzewiéj grali w holak świarnie,
bo zal zabije dziś twojom Hanusie!...
Na co Bóg zycie dał, kie ginie marnie?
Na co Bóg serce dał, kie w niebo Mu się
rwie wołajęcy o scęście, o łaske — —
a w się się łomie — — przed śklannym obrazke...

Kochany Jerzy mój! Bydźze mi zdrowy!
Nieg ci się śnijom dawne, dawne lata!
Nieg ci się śnije ten sum jaworowy,
co był młodości twéj kiejsi za brata!
Nieg ci sie śnije, ze świat stanąn nowy,
jak słońce jasny! I nieg cię dolata
na moik wargak sept twojego miana,
na wtorém wisom me łzy. Twoja Anna.

OSTATNI LIST HANUSI.

Kochany Jerzy mój! Pisę tu stela
ten list do tobie, ale jus nie płacę.
Co ma być, będzie. Wolno się zabiela
świat, śniégi lecom, we dźwiérze kołace
śmierzć. Jus jéj cekom na pościeli kiela

cas, serce lewdy puka, oddech tracę,
śmierzć ponade mnom stoji, tyś daleko —
nie płynom z ocy łzy — we wnątrzu pieką.

Dziś bez noc całom cosi sie mi śniło,
jakby umarli powstajali z grobu,
ci, co nom w zyciu było ś niemi miło,
dawni znajomi; jo im z ręcy obu
kwiatki dawała, pote pod pochyłą
góre kajś ś niémik sła, ani sposobu
wypedzieć, ani to pomyśleć kany?
W jakisik jasny świat, wycarowany...

Znowa ci ludzie przychodzom zaś zdala,
w izbie na ławę rzędem posiadali:
Sabała, Maciek Siecka, stary Wala,
Giewont, Słodycka, Krzyś — tacy spaniali
jacysi... I ten, co go jus przywala
ziem, ten pon Adaś, coście wroz chadzali
w góry, tys przi nik... Z grobów powstaneni
i haw na ławę siedli — kerdel cieni...

Grajom. Na flecie Siecka, na gęślikak
siwy Sabała; Słodycka, Krzyś zasię
na skrzypcak. Cudnie, bo na tyk muzykak
światło, jak w grocie Magórskiej miga się.
Grajom, a nic ig nie słychno... Po smykak
błyskajom iskry, jako na sałasie

*) Kerdel = gromada (stado o owcach).

w nocy. Pełniućka izba tego grania —
cy w dusy mojéj gra? Tak do skonania?

Cy prziśli po mnie twoji przyjociele
i towarzisia?... Tak mi bedzie milij
wstać do wiecności z téj smutnéj pościele,
kie mi dusami swemi prziświcili...
Hej Jerzy, Jerzy! Jus mi na kościele
zwon cicho sumi... Od kwili do kwili
cas gna, a tobie niémas blizko kany,
mój złociusieńki i umiéłowany!...

Hej Jerzy, Jerzy! Joby jesce wstała,
jesce roz! W góry! Jescebyk ozparła
pierś! Jesce rozbyk we świat zaśpiéwała!
Jesce na echo roz! W przepaści garła!
Jesce do wiérchów roz! W jeziora!... Cała
dusa-by moja se mnie się wydarła!
Jesce roz w lasy! W Dónajec! W potoki!
Jesce roz, Jerzy! Jesce roz w obłoki!

Hej Jerzy, Jerzy! Jesce roz! Podź se mnom!
Hań, na téj grani staniemé oboje!
Hha! Jaka przepaść! Jaki zryw pode mnom!
Hha! Jaka wezgłąb! Jak na hmurze stoję!
Jerzy! Dej renke! Kopnij prec tę ziemnom
rówień! Prec, mówiem! W górę obidwoje,
w górę! Nad wody! Nad lasy! Nad hale!
W górę, hań, w górę, my oba górale!

O Jerzy, Jerzy! Taki wej sie zbliza
koniec Hanusi twojéj... Oni cichną.
Nic jus nie słysę, lem byś pedział: krziza
ramiona sumiom kajsi — — w wietrze słychno...
O Jerzy! Głowa na pierś sie uniza,
oni sie syćka wraz ku mnie uśmiéchną,
wstali i idom, a kiwiom głowami,
jakby mi fcieli pedzieć: hybaj s nami!...

Bydź zdrów! Jo jedna miéłowała tobie!
Kaś był, coś robił: jo s tobom sła wsendzie!
Prziłozys ucho kie na moim grobie:
z grobu sie jesce samo to dobendzie.
Bydź zdrów! Twój smutek jo w te rence obie
ziembnonce bierem; co cie boleć bendzie,
co cię bolało: ja zgarniam do rency
i w to me serce wciskam, co się męcy...

Jo tobie jedna tutok miéłowała!
Tyś sie po świecie tulał, jak pijany!
Sytkie boleści twoje jo przeznała,
a cichok béła, jak kwiat popod ściany...
Jo w sercu mojém lo tobie sukała
rady, pociechy; sukałak cie, kany
tyś bywał ino i słałak ci w droge
mojego serca uśmiéch... Coz jo moge?...

Ale ty, Jerzy, słys! Jest jesce świeze
limby w dolinie hań, popod Wysoką:

siądź se pod niemi, a myśl, ka ja leze
w carnom i głuchom ziem wbita głęboko.
Tamjeś ty se mnom był... Z wirchu, od wieze
Wysokiej spadnie wiatr, chyć go séroko
w piersi i na grób przinieś mi ten w scycie
zrodzony wiater hań — wysy, niz zycie.

Jo go fcem w grobie cuć! My oba byli,
jak duhy górskie, jak orły z cichości;
tam, kany ludzie dojść nie dośmielili,
tam my swe myśli mieli i radości.
Dzisiok hań pustki som, śniég, jastrzomb kwili,
pustać... Stamstela do nieba noprości.
To jo myślała nieroz. Coz — hań z progu
skalnego ino ręke trza dać Bogu.

Idze hań jesce kie, pod Batyzowski,
idź w te doliny, ka kwitnom leluje,
na kwile smutki odegnaj i troski,
a taki ino bydź, jak wiatr, co duje.
Jo cie kochała tak! Jo z mocy Boskiéj
popatrzem na cię wte, serce pocuję.
Jo cie kochała tak! Nie rozumiała,
alek kochała tak — z duse i z ciała.

Jo wtedy w ocak twyk widziała świecić
jakisi cudny blask, jako z pohodnie;
jo wtedy myśli twe widziała lecić
wysy, niz Tatry, niźli gwiazdy wschodnie;
jo wtedej watre rada była niecić,

gotowić jeść i pić, cobyś ślebodnie
myk niesłysęcy słów śmigał głębiną — —
nie rozumiałak nic — kochałak ino...

Bydź zdrów! Dalekoś kajsi!... Tu do łózka
nie przidzies stanonć... Bydź zdrów! Nieg ci Boza
ręka pozegna!... Ginem, jako muska,
jak liść zbielały z buka; hań, w bezdroza,
wiater poniesie nas — coz jo? Dziś słuzka
śmierzci — kiedysi kwiat — nic... Dzika róza
zerwana kiejsi hań — — w cichej polanie,
w miesięcnom jasnom noc — — na halném sianie...

Na tę polanę idź — — jesce hań rosnom
same té kwiaty pod kosodrzewiną;
na tę polanę idź — z wstajęcom wiosnom — —
na tę polanę idź — tam bedzie ino
z nieba mej dusy droga — — a w załosnom
śmierzci godzine twéj patrz — za przicyną
Maryji Panny z nieba ci spaść musi
róza do zimnyk ust — od twej Hanusi...

PODCZAS WIATRU Z TATR.

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
Zawsze ciebie kochałem ze wszystkich najwięcej!
Na twem łonie się duch mój kołysał dziecięcy,
tyś mi pierwszą muzyką był słyszaną w świecie,

kiedyś od Tatr przylatał przez lasy i pole — —
dumny, nieuskromiony witaj mi, żywiole!

Kochałem ciebie zawsze! bo na twoim grzbiecie,
jako na oceanu powłoce rozdętej,
nie śmią siadać i płynąć żeglowne okręty;
bo niszczysz i niweczysz wszelką ludzką siłę,
dumny nieuskromiony, pyszny elemencie!
bo przelatasz, jak demon, wielką ziemską bryłę
i nigdzie nie jest kres twój — i nigdzie poczęcie.
Wieczny i bezgraniczny, niczem nie zamknięty,
lecisz przez cichych niebios gwiezdne firmamenty,
i niczemu nie bratni, z niczem nie związany,
wszystkiemu wszędzie obcy, sam jeden dla siebie:
pustynie, miasta, sioła, góry, oceany,
wszystko masz u stóp swoich, wędrując po niebie!

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
Ty jesteś dusz najsłodszą, najlepszą muzyką!
Jako na wolę marzeń, na twą zdana wolę
dusza leci: im więcej obcą się uczuje,
im będzie samotniejszą, im dalej lot chyży
poniesie ją w pustynię szeroką i dziką:
tem więcej jest królewską i tem leci wyżej!

Niechaj się tam na dole tłum ludzi kotłuje,
niechaj wstają geniusze i w ducha mozole

podnoszą głuchy odmęt ludzkiej masy w górę,
aż runie w dół ich pracę zawalić, jak lawa;
niechaj się ludzkość cała jednem piekłem stawa,
lub dusze jak anioły świecą białopióre;
niech wojna grody niszczy, mór sioło po siole
obraca w pustkę cichą, lub niech kwitną sady
i złotym plonem lata świat się cały cieszy;
niech życie będzie świętem dla ludzkiej gromady;
niechaj się sam Duch zjawi pośród ludzkiej rzeszy
i rozwiesi nad światem swych rąk aureolę:
ty, z niczem niezwiązany i obcy wszystkiemu,
krążysz, li tylko Prawu podległy swojemu,
dumny, nieuskromiony, wspaniały żywiole!

Duszy, która poznała, że odejść powinna
od powszechnego świata, ponieważ jest inna,
tyś jest największym skarbem, o wietrze skrzydlaty.
W samotności jej dumy i zamknięcia w sobie
ty myśli jej kołyszesz, ty stwarzasz jej światy,
gdzie żyje, jakby żyła gdzieś na innym globie,
zrozumiana, odczuta, pokrewna i blizka...

Leci wiatr: przez ogromne skały i urwiska,
przez rozpadliny leci, gdzie oko nie sięgnie,
przez otchłanie, gdzie patrzeć krew w żyłach zatęgnie,
przez lodowce niezwładne i przez śniegi białe,

gdzie śmierć siedzi oparta plecami o skałę
i prowadzi dokoła sępiemi oczyma,
czy nic niéma dokoła?... Lecz nigdzie nic niéma...

Leci wiatr — i przedziwny, cudowny czarodziej,
przed duszę świat marzenia z otchłani wywodzi,
świat utopijnych czynów, spełnianych idei — —
szumi — i wzrok na sprawy rzeczywiste klei,
a otwiera snów państwo, skąd, jak kropla ścieka
w kielich kwiatu i woń zeń wydobywa mocną:
tęsknota ku Lepszemu ogarnia człowieka
i duszę mu zapładnia i czyni owocną.

Kocham cię, wietrze górski, i zawsze kochałem!
Tyś mi wzniósł wzrok na Światło, na Przestrzeń
[i Ciszę,
na tę cudowną trójcę! Ty niegdyś nad wody
dunajcowe lecący, mojej duszy młodej
nigdy już nieodstępne dałeś towarzysze:
nieujęte uczucia, wrażenia gwałtowne,
z których zachwyt i dziwny jakiś zryw wybucha,
jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
że się z tego religia własna rodzi z ducha,
wołana przez tęsknoty, przez sny niewymowne...

Witaj mi nieposkromny, królewski żywiole!
witaj nieujarzmiony, dumny elemencie!
witaj, ty, który gwiazdę płonącą na czole
rozświecasz, jak ognisko na wysokiej górze!
witaj mocy astralna, najczystsza w naturze,
witaj, płynący niebem wieczysty okręcie!
Niebiańska władza, co się wiekuiście ziszcza,
buduje, gdzie obala, sieje, gdzie wyniszcza,
a cel twój tak nieznany jest, jako cel słowa,
które wyrzekło: »Stań się!...«

Nierazem cię w borze
igrającego widział z wysmukłem źdźbłem trawy,
na którem się bujała ćma szaro-różowa,
albo chrząszczyk w złocistym, świecącym pancerzu.

Nieraz ciebie widziałem, jakeś na jeziorze
gonił bańki powietrzne, lub mech czerwonawy
strzępił na stawów górskich kamiennem pobrzeżu.
W twoim szumie w tatrzańskich pustkowiach stra-
[szliwych,
zawieszony na skrzydeł malowanych tęczy,
nakształt kwiatów, zerwanych gdzieś w łąkach pie-
[ściwych:
motyl skalny przelata — jak orzeł — samotny —
jak dzwoneczek anielski na swych skrzydłach
[dźwięczy,

i kwiatem się odrywa gdzieś z igły zawrotnej
i nad otchłanie czarne, nad skały olbrzymie
unosi ta ptaszyna maleńka i dzika
ducha ludzkiego, jako niebios wędrownika...

Nieraz ciebie widziałem błądzącego w dymie
nocnych ognisk pasterskich, gdyś iskry unosił,
kołował z niemi w górze i polanę rosił,
albo świecące wieszał na ciemnym konarze.
Wtenczas tyś mi przynosił dziwne czucia w darze:
rozwijałeś mą duszę, że się spływać zdała
z mgłami i mgieł melodyę na górach słyszała,
i nie było jej tajnem ni jednego dzwonka
życie, gdzieś zawieszone na turni oślizłej,
i każdą kroplę znała, co z siklawy bryzły,
i zasłoniona cieniem mroczna halna łąka
zdawała jej się cichą kołyską, gdzie zlany
kołysze się duch ludzki i duch wszechprzyrody...

Dziwnie cudowną pieśnią grały wówczas wody,
i las ciemny, potężny, w gwiazdy malowany...

(Wszystko to dziś zda mi się, jak nadziemskie czary...)

Widziałem, jakeś nieraz w nocy przez moczary
wodził błędne ogniki, popychał je, gonił,

gasił i znów je w chwilę na nowo rozpłonił,
i tańczył z niemi, dziwny, nieswojski, tajemny,
jakiś duch, skądsiś spadły na ziemię, nadziemny,
pełen melancholii, smutku i ironii.
Każdy poświst twój nowe światełka błót goni,
zdasz się bawić, jako ci, co bawią się dymem
w wysokich zamkach, kiedy powódź wsie zalewa;
jakobyś był posępnie szyderczym olbrzymem,
co zamiast ziarno siewać, ogień błót rozsiewa.

I nieraz ciebiem widział, gdyś nad zwały skalne
niósł chmury niebotyczne, wielkie, tryumfalne,
chmury, co się piętrzyły, gdzie wzrok nie dolata,
zaciemniające cały widnokrąg świata,
potężne, ścmiewające olbrzymie kontury
skał, a takim rozmachem bijące do góry,
że się zdawało, niebo zasłonią na wieki!...
I znowum ciebie widział, jakeś sam, daleki,
unosił się na skrzydłach, jak orzeł w przestrzeni,
nad przepaściami spadów, nad morzem kamieni,
dumny i zakochany w wierchach wiecznie sennych,
nieruchomych, ogromnych, niemym głosem brzmien-
[nych,
jaki w niekołysanych jest mosiężnych dzwonach.
Widziałem cię, gdyś błądził po skalnych koronach,
i miłosne ramiona wokoło granitu
owijał, rozbujały, szeroki, królewski,

wszystkiemu, oprócz słońca i gwiazd śród błękitu,
obcy i niedostępny, samotnik niebieski,
cichy pasterz kóz skalnych i orli towarzysz...

O wietrze! kiedy lecisz tam, o czem ty marzysz?!...
Czy ci się nie śnią dawne, przeminione wieki,
pełne dziwów wymarłych, cudów zatraconych,
gdy z szalejącej słońca młodzieńczego spieki
dobywały się twory straszne i poczwarne,
ptaki o skrzydłach, jako o chmurach czerwonych,
jaszczury wygrzewane przez bagniska parne,
podobne do pniów z miedzi, bursztynu i złota?
Czyli ci się śni może wód wielkich ciemnota,
co tu leżały, Tatry kryjąc w swojem łonie,
jak ludy kryją w sobie niewidzialne siły:
aż gdy je czas zatrzęsie i pogłąb wyzionie,
wstają i biorą słońce na swych ramion bryły...

I widziałem cię, wietrze, jakeś przez cmentarze,
leciał i szumiał grobom bez nazwisk, pamięci:
wiem, że się podźwigały do cię z grobów twarze,
których nikt już modlitwą, myślą nie uświęci,
świadome zapomnienia, w które Czas je wgłuszył.
Uśmiechają się do cię, żeś tę ziemię ruszył,
gdzie one leżą wieki. Ty jeden na ziemi
znałeś je. Już się lasy zwaliły na lasy,
rzeki poszły inaczej, góry w głąb się zsiadły,

ty jeden szumisz tony wieczyście jednemi,
słuchają cię — i dawne wspominają czasy,
spostrzegając, że słońce zżółkło, gwiazdy zbladły...

Kocham cię, ty natury naciągnięta struno,
na której gra Ruch, Wszechbyt, Czas i Przestrzeń
[wieczna;
kocham cię, rozwahana łodzi podsłoneczna,
kocham cię — i te wszystkie bóle i tęsknoty,
które przez wieki wieków w falę twoją runą!
I wszystkie te westchnienia, chęci i porywy,
i wszystkie te marzenia, żale i nadzieje,
i wszystkie te gonitwy i wszystkie te wzloty,
i cały żądz i pragnień orszak złotogrzywy,
które z siebie pierś ludzka w twój tuman wyleje!
Kocham cię — ty nademną kiedy szumisz falą,
ileż niesiesz dusz ludzkich! Ileż w tobie leci,
żywotów i sił ludzkich i ile stuleci
tęsknot, co się nad światem piętrzą tak, jak góry!

Słuchajcie, jak wiatr szumi! Niech wam się rozpalą
źrenice, niech pierś wzbierze, uszy się otworzą!
Słyszycie? Oto rosną ponad wami mury
tych tęsknic, które dusza od wieka, od świata
początku, od tysięcy lat, od lat milionów,
wyrzuca z siebie w przestwór. Piętrzą się i mnożą,
dosięgają niebiosów i anielskich tronów,

i taka z nich ogromna moc w niebo wylata,
aż Pan Bóg rzeknie: »Stań się!«...

To jest Wola Świata!

Dusza, która już swoje pamięta, jakże się
gubi nieraz w twym szumie, pełna melancholii...
Jak zielone polany i strumienie w lesie
wędrowcowi na szczycie, gdy się mgła rozrywa,
odsłaniają się zwolna, dalekie i mętne:
tak się w powiewie wiatru cicho i powoli
odsłaniają obrazy pamięci, tak smętne,
jak żagle statku, który za morze gdzieś spływa...
Gdy pełna krewkiej siły młodość swoje ręce
wyciągała ku życiu, wciąż idąc ku niemu:
wiatr szumiał i rozszerzał źrenice chłopięce
i rozpierał pierś młodą i prężył ramiona —
jak źrebiec, biegła młodość ku życiu jasnemu,
i nigdy nie myślała, że już żyć zaczęła,
wtem patrz: oto jest brama życia przekroczona,
aniś się spostrzegł kiedy... A w tej jednej chwili
poznania: już my za śmiech życia przekroczyli,
już nam jasność i radość na zawsze zginęła...

W chwili goryczy to się nam wydaje celem,
i to życia naszego przeznaczeniem całem...

Jesteś, o wietrze! smutnym, dobrym przyjacielem —
milczysz, więc z sercem idzie się ku tobie śmiałem,
i pogrąża się duszą przejrzystą w twym szumie
na wielką spowiedź...

A tej duszy się wydawa,
że jest jak świętość jakaś, zamknięta gdzieś w tumie,
że nigdy nie widziana i nigdy nie blizka,
jako sen legendarny ciałom we śnie błyska,
i objawia się czasem, jak cudowna zjawa,
jak róża z gwiazd, coby się, siana przez anioła,
zapaliła nad bramą na murze kościoła.

Takie wizye ma dusza człowieka...

Szum wietrze!
Szum falisto spokojnie, szum cicho łagodnie!
Niech się całe ułoży, usenni powietrze,
niech się stanie dokoła cicho i pogodnie,
i niechaj ponad ziemią zakwita niezmienny,
ten uśmiech wiekuisty, równy, zimny, senny...

O wietrze! powiedz! Ty to unosisz w bezdroże
owe uczucia ludzkie, owe serca moce,
od których człowiek w sobie piętrzy się i gorze,
a które nie zużyte, marnieją i giną,
jak niemogące dojrzeć bez słońca owoce,

jako kwiaty północy, co się nie rozwiną
i nie wydadzą z siebie tej barwy i woni,
która się w ich nasieniu już plemi i płoni?
Powiedz! Na twych to skrzydłach ulata w przestrzenie
tyle uczuć serdecznych, tyle sił spragnionych,
że człowiek byłby tulił do piersi kamienie,
ale i tych nie było!... Powiedz! Ty to w górę
unosisz tyle myśli pięknością szalonych,
że nad światem, jak drugie słońce mogły błysnąć,
gdyby był strop, na którym mogłyby zawisnąć?...
Powiedz! W tym twoim płaczu i jęku i łkaniu
nie słychać-że łkań uczuć zabitych w zaraniu,
które krążą nad ziemią, wołając z rozpaczą:
czemu nam żyć nie dano?! Na grobową płytę
kładą ludzie przeróżne napisy wyryte,
na których słowa łkają, zawodzą i płaczą;
przecież z wszystkich słów śmierci, jakie wyrzeczono,
dobytych ze serdecznej głębiny ukrycia,
jest chyba najsmutniejszem wyrzeczenie ono:
»zdaje mi się, żem przeszedł koło mego życia...«
O wietrze! Powiedz: kędyż? nie w twojem-że wyciu
unoszą się te moce nieużyte w życiu,
to nieziszczone, które u tych, co w grób zwiśli,
musi być najsmutniejszą i najczęstszą z myśli?...

Ale jest sen, widzenie, wiara, że tam w górze,
jest jakieś odpłacenie, jakiś zwrot w naturze,

że tam, kto tu chciał kochać i szukał miłości:
znajdzie ją; kto chciał zbawiać: zbawia; kto czuł siłę
świecić wśród gwiazd: wirować będzie wśród świa-
[tłości;
że może, gdy zrzucimy z siebie ciało zgniłe,
przeistoczeni w duchy w jednej cudu chwili,
powiemy, że zdawało nam się, żeśmy żyli...

Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!
Ty, co lecąc przez turnie szalony i prędki,
płowyś rysia grzbiet muskał, strojny w ciemne cętki,
i kiście mu na uszach wstrząsał, gdy w wąwozy
skalne kradł się wygięty, spłaszczony pod kozy;
witaj mi, wietrze górski! Ty, co tam z gór łona,
niesiesz pojęcie dzikiej, przepastnej swobody,
od której się zatacza głowa zawrócona,
pod której się wrażeniem zamykają oczy,
roztwierają się w otchłań na przepaść ramiona,
a dłoń za czaszkę chwyta... Jak wina, jak miody
poi ta myśl... Ah! ona, jak głaz serce tłoczy!
Bo jest takie pojęcie tej woli śródskalnej,
które jest dla człowieka za silne, za duże — —
my nie orły, my ludzie, a chód tryumfalny
dawno jest baśnią dzieci i piastunek pieśnią...
Idziemy i szukamy z rozpaczą w naturze,
co nam życie odjęło i pokryło pleśnią...

Witaj nieuskromiony, dumny elemencie!
słucham cię, a duch we mnie powstawa i rośnie;
słucham cię, a pierś moja oddycha radośnie...
Ty mnie kiedyś poniesiesz, błękitów okręcie,
na swoje niezmierzone, nieobjęte pola...
Tak Indyanin śni stepy niezmierne, bezkresne,
tam, kędy śmierć prowadzi przez życie bolesne,
gdzie szumi wiatr, a nigdy nie jęczy niewola.

O WIETRZE!

O wietrze!
Ty więźniowi, tysiące mil od swego proga,
szumiąc u kraty od łez rdzawej i wilgotnej,
przynosisz wieści z domu... Jak tam żona droga
uczy dzieci imienia ojca, który więcej
nie wróci... Słyszy głos jej i szczebiot dziecięcy,
i płacz mu piersi chwyta straszny i zawrotny,
i o ścianę mu głowę rzuca straszna męka,
ale płacze — dlatego serce mu nie pęka.

W twoim szumie mu dzwoni dzwon z kościelnej wieży
na Anioł Pański — modlić klękają się ludzie — —
ty niesiesz szept modlitwy, niesiesz woń wieczerzy
spożywanej pospołem, niesiesz to odległe,
dalekie, drogie życie, na zawsze odbiegłe...

Niesiesz pól zapach swoich w obcą, smutną stronę,
piosenką swoją zabrzmisz w głuchej, niemej nudzie,
przebiegłszy step niezmierny, pustki niezmierzone,
wody w bezkres rozlane... Ze skronią u kraty
więzień słucha, jak szumisz, i nozdrza otwiera,
czyś nie przyniósł mu trochę dymu z jego chaty,
czyś nie doniósł zapachu tej lipy w ogrodzie,
gdzie się rój pszczół na wiosnę każdorocznie zbiera —
czyś nie przyniósł tej woni, co krąży przy wodzie,
woń, co mu całe jego dzieciństwo przypomni,
jak usłyszana kiedyś, po latach, muzyka...

Szumi wiatr — jakby chłodną kładł mu dłoń na
[głowie — —
szumi wiatr — więzień oczy powoli zamyka — —
szumi wiatr — jakby jaśni szli skądś aniołowie — —
szumi wiatr — więzień zwolna niedoli zapomni...

Czaszką wsparty o kratę, z podniesionem czołem,
z zamkniętemi oczyma słucha, jak wiatr szumi — —
szumi wiatr — — duszę więźnia napełnia anio-
[łem — —
anioł skrzydła rozpostarł w wnętrzu jego duszy,
rozpacz i ból pod skrzydłem anielskiem się tłumi
i zachwycenie spływa na tę duszę biedną...

Szumi wiatr — — od łez zwilgłą kratę kaźni
[suszy — —
szumi wiatr — — szumi jedno, jedno, zawsze jedno...

SALAMANDRA.

Przez obcy szedłem las — posępny stał;
ciemniał w nim dzień — wilgotne mchy
słały się u mych nóg, z nadwodnych skał
zwisały zimne, brudne, ślizgo szły
w parowów głąb. Potoku pienny nurt
po progach wył wzdłuż drogi, to znów cichł,
z kamiennych w toń się przelewając furt.
Wśród gonnych drzew tu owdzie, jakby mnich,
(dalekich Tatr widziadło), karli smrek,
obrosły gąszczem konarów aż do stóp,
w milczeniu stał i ciszy leśnej strzegł.
I nic nie rwało jej; jak ciemny grób
milczał ten las, tonąc w ponury mrok.
Tam szedłem sam — szeleścił w ścieli krok,
to patyk trzasł, to bełkło trzęsawisko.
Gdziem był? — tak, wiem: ja byłem ludziom blizko,
ale mój duch, jak niegdyś na Jeziorze
Królewskiem, zszedł z kolisk ludzkiego świata,
i wszystkie w tłum zbiegły się ku mnie lata,
przeżytych dni, przeżytych godzin może...
Wszystko, com czuł, czegom przepragnął w życiu,
zbiegło się ku mnie w tłum — wszystkie tęsknice,
[chęci;
widziałem tam, jak pasmo wzgórz w odbiciu
kliszy: zebrane wspól epoki mej pamięci.
I moja krew i mózg mój i marzenia,
porywy duszy, woli mojej sny,

nadzieje, wiary: wśród tego milczenia
ozwały się, przyszły i ze mną szły
mówiące do mnie, w mrok. A głos to jeden był,
ogromne, straszne jedno zapytanie:
co pozostało z nich?... Ze skalnych brył,
gdy spadną w dół, skruszony rum zostanie,
kamieni stos — lecz co zostało z nich?
Co z duszy mej i z mojej krwi żywota?
Czyliż, jak kurz od koła leci szprych,
tak z życia duszy treść odlata i robota?
Wewnętrznej pracy wóz przetoczy się wśród dróg
i nie zostaje nic, jakby nie przebiegł wcale?
I gorzki żal się wśród czeredy wzmógł
mych myśli, czuć. Po cóż — mówiły — po co
byłyśmy, jeśli mniej trwania w nas, niźli w skale
podłej, z której się żwir i głazy wygruchocą?
Po coś ty rodził nas i my rodziły ciebie?
Pytały tak, a ja, jak gdybym na pogrzebie
pochodnią tylko był i więcej niczem, wkoło
świecąc na smutku mrok i na zgryzotne kiry,
tak szedłem — — milczał las, woń stęchłą zioło
dawało z błót, i mchy, nad wodne wiry
zwisłe, dławiły dech... I ciągły szum: gdzie my?
Gdzie żywot twój, co z nas się plótł, jak z sita
plecie się kosz? Gdzie my: twe myśli, sny,
gdzie żywot twój?... Cóż powiem? Pod kopyta
wtrącił was Czasu rumak i Nicości?
Zdeptał was, jako koń Attyli złem
kopytem deptał wsie? Kędyście w toń tej czczości,

co się przeszłością zwie, kędyście w grób, w pokłady
strawionych ludzkich rzeczy zapadły — czyż ja
[wiem?...
Wtem u mych stóp, pod zboczem usypiska,
wśród mokrych nór, patyków, jako gady
pełznących w las, nad miejscem, gdzie połyska —
bagienka szkło: ujrzałem nieruchomie
stojącą salamandrę. Czarne ciało,
pomalowane w żółte plamy, słało
się tuż nad ziemią i w leśnym ogromie
wiązała do się wzrok, jak świeca w ciemnej sali.
Przez długą chwilę przeciweśmy stali,
aż mi się zdało, że w tej wędrownicy
pustkowi leśnych, w tej wiecznego cienia
mieszkance niemej: wszystkie me pragnienia
i cały bezmiar żywota tęsknicy
i wszystko, co się w mem życiu nie stało,
wraz się skupiło i wraz zamieszkało,
ażeby błądzić tu, w wiecznej mrocznicy
obcego lasu... Dni, godziny, lata,
co za mną z głuchem zapytaniem gnacie,
widma cmentarne, czyliż wy w warsztacie
natury wiecie, jakim kręgiem lata
koło wszechbytu? Czy znacie pierścienia
początek i kres? Czy wiecie, że współ wraz
może wam wszystkim ten odpowiedź daje las?
Że wszystkie zżyte sny, sny zżyte i natchnienia
i cały skarb, co człowiek w sobie miał,
może się taką ot straconą rzeczą stał,

jak salamandra ta wśród lasu mrocznych głębi?
Więc nie pytajcie mnie, kędy jesteście,
ani pytajcie mnie, czy się z was co zezrębi,
ani się za mną w tłum tych mar żałobnych nieście,
bo nie wiem nic — — widzicie: milczy las...
Jeżeli tu przez wszystek bytu czas
błądzić człowieka los — może i to, co zżył,
wieczyście błądzi kędyś — tuman sił
straconych w wieczny mrok...

TA TRAWA, KTÓREJ NIKT NIE KOSI...

Ta trawa, której nikt nie kosi,
ta woda, której nikt nie pije,
nikomu niepachnące kwiaty — —
oh! tam jedynie dusza żyje!

To niebo, w które nikt nie patrzy,
Bóg, który wcale niezna ludzi,
ten las nikomu nieszumiący,
ta zorza, która nic nie budzi...

Te niepachnące żadnym nozdrzom
cudowne, purpurowe kwiaty;
ta woda, której nikt nie pije,
ten wiatr nad pustką mgieł skrzydlaty...

Bóg, który wcale niezna ludzi,
cud, w który żadna myśl nie wcieka,
ten las nikomu nie szumiący,
duch, niemający nic z człowieka...

Świat bez istnienia i bez śmierci,
ten zdrój, co tylko skałom bije,
ta trawa, której nikt nie kosi — —
oh! tam jedynie dusza żyje!

W PODNIEBIU.

Czarna, święta, skrzesana do przepaści skało,
nie tknięta nigdy ręką czyją, ledwie okiem
sięgana z rumu złomisk w morzu gór głębokiem,
zkąd lecąc do cię w locie ze znużenia mdlało;

wieczna, okryta dumą, wiekuistą chwałą,
fali orła jedynie wieńczona otokiem:
ciebie śnię, ponad zjawisk błądzący potokiem,
i ciebie moje serce nad świat ukochało.

Ani mi ranna jabłoń, co się kwiatem kryje,
ni wieczorna melodya dalekiej muzyki,
ani mi kiedy białe młode piersi czyje

były takim zachwytem, jak twój granit dziki,
po którym chmura pędzi, wiatr szalony wyje
i wiew Boży przepływa niebios bazyliki.

OBŁOKI NAD MIASTEM.

Przyleciały nad miasto obłoki,
przyleciały z daleka, ze światu,
noc to była cicha, bez księżyca,
w gwiazdy siana z miedzi i szkarłatu;
gwiazd milionem świecił strop wysoki,
i noc była cicha, sinolica,
gdy nad miastem zawisły obłoki.

Przyleciały z daleka, z okolic
pustych, śniegiem zasutych ponuro,
gdzie się jodły kołysałe stare
i szumiały pieśń smutną, ponurą;
przyleciały z ponad górskich holic,
gdzie skał cienie pną się w ciemną marę
i mróz ścina twarz ciemną okolic.

Przyleciały na wietrze i w górze
ponad miastem zawisły na wzlotach;
zatrzymały się sine, olbrzymie,
poszarpane jeszcze na gór szczotach;
gwiazd zakryły rdzawe mętne róże,

bo tej nocy, jakby zwiędłe w dymie,
gwiazdy lśniły zasępione w górze.

I patrzały na miasto na dole — —
ha! jak wzdęły się, wzgięły, jak blachy
od płomieni wrejących szalone;
jak zranione węże, ponad dachy,
tak się wzgięły z fosforem na czole,
żółtem światłem gniewu napojone,
gdy spojrzały na miasto na dole.

Jak się wzdęły okropnie obłoki!
W padół patrzą, w brud, w otchłanie bólu,
w poszarpane serca, trzewia, dusze;
jak się wzdęły, jak kurzawa w polu,
kiedy wicher podbije jej boki,
w wir pochwyci, skłębi w zawierusze — —
tak się wzdęły na niebie obłoki.

Cała chmura dusz potratowanych!
Całe krocie zmiażdżone obuchem!
Przerobionych w błaznów kroć rycerzy!
Źrebce raczym zmuszone iść ruchem!
Cała chmura dusz nędzą pijanych!
O! kędyż się górskich szczytów śnieży
biel, daleko od dusz stratowanych!...

Nizko, w bagno, w otchłań dusz, w mokradła
wzrok snuć muszą obłoki z wysoka,

w butwielinę strawioną i zgniłą;
galaretą kleju jest powłoka,
pod powłoką zbutwiałość przepadła,
wszystko w sobie się zgryzło, strawiło,
dusze spadły w niziny, w mokradła.

Ponad niemi z jękiem, krzykiem, zgrzytem,
z szumem krwawych piór ich własne skrzydła
jaki straszny, dziki, rozpaczliwy
tan zawodzą, skrwawione straszydła,
z kości od bark odciętych skowytem;
niespojone już więcej ogniwy
żył z ramieniem — toczą wir ze zgrzytem.

Nędzna rzesza! Do śmiechu gotowa,
do szyderstwa na widok okrętów,
przyrośnięta stopami do piasku;
nędzna rzesza, w mózgu bez tętentów,
które budzi bezmierność stepowa,
w oczach bez skał olodzonych blasku
nędzna rzesza — — do śmiechu gotowa...

Bruk znający i asfalt kramarze!
Wędrownicy przez kupieckie hale!
Pełni w sobie tej mądrości życia,
jaką kelner pojmie w karnawale;
mądre, sprytne, szlifowane twarze,
myte wodą »filtrową do picia«,
czelne z wiedzy na handel kramarze!

Ich na »kawał« nie wezmą niebiosy!
Cóż widzicie nad głowami w górze?
Rozpostarte, pierzaste obłoki?
Nie wam świecą gwiazd złociste róże,
nie wam strop się kołysa wysoki
w gwiazd muzyce! — — Jak psy przez obrożę
poglądacie w górę na niebiosy!

Lecz spokojni bądźcie — macie swoje
za was duszą mówiące poety,
śpiewające wam to, co wam trzeba;
macie natchnień, porywów falsety,
krwi z karminu, łez z flakonu zdroje;
do waszego kramarskiego nieba
zwracające wam wzrok wieszcze swoje!

O wysokie! O lotne obłoki!
O zdaleka płynące na wietrze!
Jakże z cichej lecicie krainy!
Lecz w was światło, jak iskra w saletrze!
Lecz lecicie przez błękit wysoki,
jakby upiór w was pędził, z głębiny
wyzionięty pieczary, obłoki!...

WĘDROWIEC.

Wędrowiec szedł przez pusty świat,
znużony wielce, głodny był;

wtem ujrzał w dali śliczny sad,
doszedł więc doń, dobywszy sił:
gałęzie jabłek, śliw i grusz,
zgięte nad ziemią wiszą tuż,
lecz mór na wszystkie drzewa padł,
i owoc robaczywy był...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I straszny, wściekły słońca żar
począł wędrowca prażyć z nieb,
i duch w nim od pragnienia marł,
a wody kropli nie miał step —
wtem ujrzał palm zielony liść
i ku oazie począł iść,
ale nie znalazł wodnych czar,
tylko wyschniętej studni sklep...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

Wsparty o swój wędrowny kij
jął się więc martwą pustką wlec
i wołał niebu: dalej drwij!
a z trudu pot mu począł ciec — —
wtem ciemnych dębów dostrzegł las

i pobiegł doń odpocząć raz.
Lecz las był cały pełen żmij,
nie można było na mchu lec...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I spotkał śród obłędnych dróg
w bluszczach stojący zdobny kiosk
i wszedł sandały zezuć z nóg,
we śnie zapomnieć mąk i trosk — —
aliści w futer skryta błam
cudna dziewczyna spała tam
i żądzy w nim się pożar wzmógł
i objął ją — lecz to był wosk...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

Szedł i wrzeszczący ujrzał tłum,
nad tłumem krzyż i na nim człek —
więc pięścią czyniąc sobie rum,
ratować męczennika biegł,
lecz ów, co się w męczarni wił,
to zapłacony kuglarz był —
i śmiechu go otoczył szum,
czyn bohaterski w błocie legł!...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I zbiegły się doń fale rzesz,
jako do morza ze wszech stron,
wołając: »z serc nam jutrznię krzesz!
Z dusz naszych zorzy ulej dzwon!
Ponura nas owłada noc!
Tyś nas wskrzesiciel! zbawca! wódz!...«
Ów sen mu przerwał rykiem zwierz,
bo tylko w śnie tak marzył on...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I gniew mu ogniem strzelił tam
z natchnionych jeszcze ze snu lic:
»Wszystko więc — krzyknął — w życiu mam
i tylko w życiu niemam nic!
Wchodzi mi w rękę każdy skarb,
tylko ten skarb jest złudą farb!
Wszystko osiągam, wszystko znam
i tylko nigdy niemam nic!«

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej...

ŻEGLARZ.

Śpiewajcie złotołuskie wodnice powracającym że-
[glarzom!
Oto wracają do was, błąkawszy się długo w ogro-
[dach...

Serce ludzkie często miewa sny —
mówi komuś: tak, to jesteś ty —
a naprawdę co tkwi w sercu tem,
było tylko jego własnym snem...

Co ty myślisz? Cóż obchodzi mnie?
Ja sam kładę myśli w czoło twe,
a tych myśli, co tam lgną się snuć,
ty mi nie psuj i ty mi nie brudź!

Z serca ból to i wyznać nie wstyd:
w legendowy kogo zmienić myt,
w cud go zakląć, przeistoczyć w czar,
a on urok własną ręką zdarł!

Cóż mi z tego, że na polu dzień,
jeśli w mojej celi leży cień?
Cóż, że jabłoń mą okwiecał kwiat,
jeśli złodziej z niej owoce skradł?

Ty nie żyjesz, lecz na grobie twym
w twoim kształcie stanął blady dym

i spogląda ciągle w moją twarz
twojej śmierci nieśmiertelna straż.

W trumnie twojej, gdym cię do niej kładł,
wszystkom zamknął, cały jeden świat,
tylkom tego nie przeczuł, że z niéj
wyjdzie pamięć — w oczy patrzeć mi...

Było wszystkiem — niczem nie jest już,
wolny płynę het na pełnię mórz,
tylko oczy moje z głębi fal
w przeszłość zwraca cichy, prosty żal.

Jeszcze nasze piersi słodkie są, jak grona winne!
Pójdź! tobie trzeba odmętu — spluń! żagiel twój
[rozwiń na wiatr!

ZBROJA ZAWISZY.

A kiedy się zabierała wyprawa krzyżowa,
przyszedł Czarny Pan Zawisza Sulimczyk
[z Garbowa
do płatnerza sławetnego krakowskiego cechu,
co w fartuchu stał i z młotem, arcymistrz od miechu;
który witał go pokłonem, znał rycerza z twarzy,
zaś Zawisza mu na ramię rękę sparł i gwarzy:
»Słyszałeś to, bracie, o tem, że cny król Jagiełło
wbrew rycerzom pod krzyżami krwawe podjął dzieło;

już poluje het po puszczach i zwierzynę bije,
aby miało jeść co wojsko, gdy dźwigną kopije.
A gdy zdala u cesarza rzymskiego na dworze,
gdziem w estymie był okrutnej i w srogim honorze,
posłyszałem, że się Polska do boju porywa,
wrazem jechał, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Uróbże mi, proszę, bracie, zbroję, jak się patrzy,
nową zbroję na bój święty, od tego nie gładszy,
jaki ze mną Aragonu król Jan niegdy zwodził,
a któregom wyparł z siodła, ledwom go ugodził.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy;
ma być zbroja szmelcowana, bym jak miesiąc lśnił się,
by poznali, gdzie Zawisza, i kędy on bił się«.
Gdy powiedział tak, zaraz się mistrz zabrał do pracy,
kazał sobie dać do miechów dwóch tęgich duchacy,
by duchali wiatr na węgle, a sam miarę bierze,
by Zawiszy postać zmierzyć. »Mierz, bracie, [a szczerze —
mówi rycerz — bom ci to ja nienawykły ciasno;
lubię słyszeć brzęk zbroicy, gdy ją stalą głasną,
i jest dla mnie to niemałą, płatnerzu, uciechą,
gdy mi dźwięknie między zbroją a sercem, jak echo.
Już też długo Krzyżak polskie pogranicze derbił,
czas, by mu się na łbie twardym polski miecz wyszczerbił,
wstanie Polska, jak lew z leży i mocna i mściwa,
więc mi kuj zbrój, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,

abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy,
na ramiona kuj mi grubo, bym, gdy się zamierzę,
taki ciężar miał u miecza, jak z kopalń mincerze;
grubo kuj mi zbrój na uda i nagolenniki,
bym parł konia, jak kra drzewo, kiedy runę w szyki,
li na piersiach kuj mi cieńko, cieńko, jak opłatek,
niechaj będzie stal tak cieńka, jak lilii płatek,
jako lilję kuj od przodku, bym też za ojczyznę,
jeśli Niemiec to potrafi, wziął na piersiach bliznę«.

MICHAŁ ANIOŁ PRZED WYKUTĄ PRZEZ SIEBIE »NOCĄ«.

O cicha, śpiąca, niezgłębiona Nocy!
Czyś mnie zrodziła, czyś ty ze mnie wstała,
w godzinę śmierci duszy, o północy?

Czy Bóg cię z mego wyprowadził ciała —
jak Ewę w raju wzwiódł z żebra Adama —
w gehennie życia, której słońce pała;

czyś ty, o Nocy, zrodziła mnie sama,
zmożona bólem krwawego porodu,
a mą kolebką jest Dantejska brama:

»Straćcie nadzieję wchodzący do grodu«?
O Nocy głucha! twego snu tumany
są ciemną zorzą mojego pochodu...

O czem śnisz? Lodem zamarzły Szatany,
jeśli cię chciały snem ciężkim, o Nocy,
trwożyć: od mrozu twej myśli kowanej.

Ni snu takiego nie śnili prorocy
przed dniem pogromu wieszczby i płomienia,
ni spał tak w żalu gryzącym wszechmocy

Bóg, gdy zobaczył nicość wszechstworzenia;
jam snu takiego nie przeczuwał zgoła,
któryby snem był tak strasznym Milczenia.

Nad ziemią, światem i wszystkiem dokoła
zamilkła myśl twa — bo jakież jest słowo,
którem rdzeń nędzy istnienia zawoła?

Śpisz — ze schyloną skamieniałą głową...
Czyliś ty we mnie, czylim ja wcielony
w ciebie, o Nocy?!... Lecz gdybym osnową

takiej zamyśli mógł mózg mój szalony
opleść i cicho tak spać, jak ty, cicha,
z pozbawionemi serc podobna dzwony!

Czemuż mą duszę budzi ludzka pycha?
Czemuż tak nie jest, jak dyament lity,
który nic w siebie nie wsiąka, nie wdycha?

Dlaczegóż złota mego skarb odkryty,
na targu w cenie niżej miedzi pchnięty,
w brózdach mej twarzy płoni się wyryty?

Czemuż mej dumy kryształ zadraśnięty
na przestrzał oku rysą swą się zdradza,
miast, jako szafir, kryć się w barw swych męty?

Przecz na mej duszy osiada się sadza
upokorzenia, gdziem nie słyszeć winien,
kędy nie widzieć: wzgarda pierś rozsadza?

Dlaczegóż z żył mych, jak brud deszczu z rynien,
które świątyni gmach od gnicia strzegą,
który się zbrudzić nigdy nie powinien:

krwi mej wzburzonej fale w dół nie biegą,
lecz się, jak gajzer, wspinają do góry
i prometejskim sępem serca mego

stawszy się, szarpią i w Kaukaz ponury
pędzą me serce, jak Prometeusza,
ażebym, w skalne bólu padłszy mury,

niebo przeklinał?! W tobie się nie wzrusza
serce, o Nocy... W tej strasznej powadze
o czem ty myślisz, Nocy, której dusza

zda się zawisać na gwiazd równowadze?

FRAGMENT Z WIERSZA DLA MEGO SYNKA.

Synku mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił —
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swą zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wieczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem!

Ułański mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi
i kitę czaka wiją?
Kto wie?... Może . . . .
poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułańska
poleci po szwadronie...

»Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stal!
Koń rwie ziemię, nie chce dostać,
pójdziesz, koniu, pójdziesz w dal!...«[*]

Gdy cię wychowam na ułana
bez lęku i bez skazy:

*) Z pieśni Józefa Przerwy-Tetmajera, śpiewanej w kawaleryi.

nie będzie służba zmarnowana,
a wiedz, że my dwa razy
za nasze obcobrzmiące imię
kochać kraj musim więcej —
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!

I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem:
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem,
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostolskiej:
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej...
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

DZIECINNY OKRĘCIK.

Dziecinny okręt płynie,
po morskiej het głębinie,
ze sznurka urwał się;
przez morza mknie otchłanie,
nikt nie wie, kędy stanie —
w żagielki wicher dmie.

Może aż w oceany
okręcik wiatrem gnany
zapłynie — w wieczną toń;
patrz, jaki jeszcze wielki,
dzień bieli mu żagielki — —
goń z wiatrem statku, goń!...

Maleńka dziecka dusza
w ślad za okrętem rusza,
wśród białych płynie pian — —
podnosi się i zniża,
polotna, lekka, chyża
z skalnych wybiegła ścian.

Wraz cieszy się i smuci — —
i piękny i nie wróci
okręcik ślicznych farb;
het, tam, przez morskie wały
wiatr w żagiel dmie mu biały,
znów w fal go kryje karb.

Już zniknął. Próżno oczy
śledzą go na roztoczy —
nic — tylko szafir wód;
pustynia — wiatr polata —
błękitny bezmiar świata
i poręcz brzeżnych wrót.

Tak kiedyś precz odemnie
w życia poleci ciemnie,

o dziecko, dusza twa — —
tak będzie odpływała
skrzydlata, czysta, biała —
Bóg tylko szlak jej zna.

Lecz patrz! Jak głąb ta świeci
i wiatr co po niej leci
jak czysty z górskich wież!
Patrz! Jak w tej słońca ciszy
pełnią piękności dyszy
świat cały wzdłuż i wszerz!

Patrz! Wzrokiem gdzie sięgamy,
niema na wodzie plamy,
ni błękit brudzi mgła...
O dziecko! Niech tak w czyste
głębiny i świetliste
popłynie dusza twa...

ŹRÓDŁO.

A był to też marcowy dzień,
śnieg palił się na górach,
z Węgier wiosennych podmuch tchnień
niósł wiatr na modrych piórach;
zajechał po mnie stary Krzyś,
a skrzypce miał pod kozłem,
i pojechałem tak jak dziś,
dziewczynę z sobą wiozłem.

Otwarła się nam cudna toń
przepastnych pustych gór,
samotność — tylko z wiatrem goń
w niebieskich kłębach chmur!
Gdy wspomnę, gdziem ja wówczas był,
nadżycia widział cud — —
jaką jam wolność wówczas śnił,
bezzgrozę i beztrud!...

Nie zdało mi się, abym znał
kiedy gdzieindziej głowę,
lecz że ten wiatr mi zawsze wiał
od mórz przez skry lodowe!
Nie zdało mi się, abym czuł
gdzie kiedy w bagnach duszę,
lecz że z tym wichrem zawsze współ
latać pod błękit muszę.

Nie zdało mi się, abym szedł
kiedy shańbioną nogą,
lecz zawsze ponad wierchów grzbiet
oczy szybować mogą;
nie zdało mi się, abym czuł
na czaszce głazów masy,
lecz że na wieki los mnie wkuł
w śniegiem świecące lasy...

Ach! Jak szeroko szumi skroń,
jak bystry piersi szum!

A to ja słońce chwycę w dłoń
co złoci skalny tum!
A to gdy ramion zzewrę krąg,
rozpuszczę moją moc:
zajmę pierś chochołowskich łąk
pod śniegu skrytą koc!

A ta dziewczyna przy mnie tam,
rusałka pustek dzika — —
nie wie, co to jest życia cham,
ni czucie niewolnika —
nie zrodził jej podlony lud,
ona jest gór królewną — —
gdy płynie ze mną w słońca cud,
to harfą dumno śpiewną...

Nie trza mi skandynawskich zag,
ni szkockiej trza ballady,
gdy przy mnie ten półdziki ptak
w dziwożon idzie ślady;
nie potrzebuję z książek brać,
gdy mi natura stwarza — —
jam znał, co ona może dać,
lecz dziś — to próg cmentarza.

Napróżno wołam, próżno chcę
wskrzesić, co zmarło już;
w kielichu własną twarz na dnie
ujrzałem — — pusty kruż;

te góry w taki złoty dzień
znowu się będą lśnić,
lecz z nas tam nikt słonecznych drgnień
wiatru nie pójdzie pić...

Zwalił wesela mego zrąb
los szybki z nienazdania,
wykopał wkoło nóg mych głąb,
przepaść, jak ścios Krywania;
starca pieśniarza prasnął w dół,
dziewczynę żagwią sparzył,
a mnie w pamięci pierścień wkuł
i wrótka żalem zwarzył.

Ale gdy słońce błyśnie dziś
na śniegu choc okruchu,
wstaje mi z grobu stary Krzyś
z nutami wieków w duchu,
świat mi napełnia pocztem mar,
nie jestem więcej ludzi — —
kuźnia wre, huczy, kipi żar
i spiż się w formach studzi.

Ale gdy słońca zalśni brzask
śniegiem marcowych pór:
niebieskich widzę oczu blask;
jak ostre niebo gór;
dźwięczący, dzwonny słyszę głos,
duszy stalowy pręt,

co w skały bił — to śpiew, to gniew,
to żaru żądzy męt...

Dziś: bywaj zdrowa! — więcej mi
nic po was nie zostało,
czasem ja myślę, że się śni,
ni było, ni się działo;
legenda jakaś, duszy sen,
igraszka widzeń chwili — —
wiem, że ta odtocz leży hen,
lecz my — czyśmy tam byli?

O GREKU, CO ZNALAZŁ ZŁOTY HEŁM.

Hełm złoty Grek napotkał na nadmorskim
[piasku,
hełm może powrotnego z pod Troi rycerza;
snadź długo w morzu leżał, lecz nie stracił blasku —
lśnił w słońcu. Wnet go włożył, czując, jak uderza
o jego złotą blachę promieniste słońce.
I wraz w głowie mu wstały by wichry szumiące —
Perseusza, Jazona, Meleagra czyny
zaszumiały mu w duszy. Nad wał morza siny
biegnąc, pobiegł do miasta. Nikomu już włosa
niezdobiły szyszaki — — spojrzano z ukosa,
a on biegł w skały z dumą przybrany w hełm złoty,
dziwiąc ludzi i budząc śmiech podłej hołoty.

BYŁ CZAS.

Był czas, żeśmy się rozumieli,
ten czas przeminął i niewróci,
a dziś mnie z wami wszystko dzieli,
nic wy mnie dziś nie obchodzicie,
nic wasze nie obchodzi życie,
to jedno boli, żeście skuci.

Pieśń moja stała się dziś pieśnią
wyłącznie tylko moją własną;
niedbam, czy gdzie się ucieleśnią
tak, czy inaczej w czyjem młodem
sercu te słowa, które w wodęm
rzucał — — niech płyną, lub zagasną.

Jesteśmy obcy. Macie wróżów,
macie serc waszych wykładaczy,
macie dusz waszych czujnych stróżów,
kapłanów waszych świętych chramów
dzierżących szale prawd i kłamów,
poetów dążeń i rozpaczy.

Jam od wszystkiego uciekł tego,
żyjcie, jak chcecie — — czem jesteście?
Macież liść drzewa zielonego,
macież woń kwiatu, szum potoku,
jesteścież jak wschód słońca oku,
jak modrzewiowych gęstw powieście?

Jesteścież jak legenda złota
kuta we wnętrzu skał ogromnych?
Albo jak zbroja, co grzechota,
albo miecz, co przy boku chrzęści,
albo stalowej łoskot pięści
pragnącej gwarów wiekopomnych?

Jam własnej tylko myśli mojej
poetą — — gdzie mnie wicher rzuci,
tam harfy mojej struny stroi,
szumi mnie tylko pieśń pojęta,
pieśń, której niczem świat nie pęta — —
to jedno boli, żeście skuci.

SPIS RZECZY.



